

Koreywo Marek

# Siewcy Czarnej Śmierci

*Tomik ten oparty na autentycznych zdarzeniach, o których opinia publiczna dowiedziała się z przebiegu procesu japońskich przestępców wojennych w Chabarowsku w dniach od 24 do 30 grudnia 1949r. Dla zachowania wierności dokumentalnej nazwiska osób kierowniczych nie zostały zmienione. Autor pozwolił sobie jedynie na wprowadzenie fikcyjnych nazwisk osób drugorzędnych, nie mających zresztą wpływu na przebieg wydarzeń.*

## „Chcemy wam zostawić mały upominek”

Pewnego sierpniowego poranka 1942 r. do obozu chińskich jeńców wojennych, w którym przebywało prawie dwa tysiące osób, zajechała japońska wojskowa ciężarówka, z za nią dwie limuzyny.

Na placu apelowym zgromadzeni byli właśnie wszyscy jeńcy, oczekujący na wymarsz do pracy. Z limuzyny wysiadł chudy i drobny cywil w okularach, podszedł do komendanta obozu, chwilę z nim rozmawiał, pokazywał jakiś dokument, po czym zwrócił się do wyprężonych na baczność podoficerów. Wybrał jednego z nich na tłumacza i przemówił do tłumu:

- Przyjechaliśmy tu do was w imieniu Japońskiej Organizacji Pomocy Więźniom. Chcemy wam zostawić mały upominek. Regulamin obozu zabrania dostarczania dodatkowej żywności, sprawę jednak zdołaliśmy załatwić u władz wyższych, od których otrzymaliśmy pozwolenie. Zostawiamy wam do podziału transport świeżych pszennych bułek. Rozdzielcie je sprawiedliwie, tak aby każdy dostał jedną. Życzę smacznego.

Na chwilę zapadło milczenie. Zdumieni jeńcy z niedowierzaniem wpatrywali się w swego dobroczyńcę. Pszenne bułki?

- Być może wojska japońskie wkrótce opuszczą ten teren – mówił dalej gość – obóz zostanie zlikwidowany, a wy pójdziecie do swoich domów, do swoich żon i dzieci. Pamiętajcie o wspaniałomyślności Jego Cesarskiej Mości Cesarza Japonii Hirohito. Banzai<sup>1</sup>.

Przez długą chwilę na placu panowało milczenie.

To, co więźniowie usłyszeli, było tak nieprawdopodobne, że wydawało się snem. Wiele już razy Japończycy czynili różne obietnice, jak dotąd jednak nigdy ich nie dotrzymywali. Teraz wszakże po raz pierwszy mówią o zwolnieniu, o rozpuszczeniu do domów. Czy to tylko nowa gołosłowna obietnica, czy rzeczywiście... A może jakiś podstęp?

Ale oto do ciężarówki zaczęto znosić kosze, a żołnierze wyładowywali w nie sterty bułek – przysmaku, o którym w Chinach dawno już zapomniano. Bułki były rumiane, pachnące i jakże apetyczne!

A więc pierwsza część obietnicy została spełniona. Co będzie z drugą?

Tymczasem w gabinecie komendanta obozu cywil z rzekomej Organizacji Pomocy Więźniom ostrzegwał:

- Pod żadnym warunkiem nikt z Japończyków nie powinien dotykać bułki. Każda bułka zawiera wewnątrz ładunek bakterii tyfusu brzuszego. Z polecenia dowództwa Armii Kwantuńskiej bułki są przeznaczone do wywołania epidemii wśród cywilnej ludności chińskiej, a w dalszej kolejności również wśród wojska chińskiego, które spodziewane jest tu w ciągu najbliższego tygodnia. Jak już powiedziałem i jak panu wiadomo z tajnego rozkazu, wszyscy jeńcy będą zwolnieni.

Komendant obozu patrzył na przybysza lekko zdziwiony, niezupełnie rozumiejąc jego słowa.

- Nie, nie jest to dowód naszej wielkoduszności, choć na to wygląda – kontynuował gość. – Idzie tylko o lepsze wyniki akcji. Ci wszyscy więźniowie powinni zachorować na tyfus. Gdyby jednak zostali w obozie, mała byłaby dla nas korzyść. Oni powinni roznieść tyfus wśród ludności i spowodować liczne ogniska epidemii. Epidemia musi wprowadzić na tych terenach chaos, kiedy zjawią się wojska chińskie, powinna uderzyć w nie całą siłą. Proszę pana, komendancie, o dopilnowanie ścisłego przeprowadzenia całej akcji. Jeszcze raz zaznaczam, że nikt z Chińczyków nie może dowiedzieć się o właściwym jej celu.

Komendant obozu, starszy już wiekiem major, spokojnie słuchał swego rozmówcy, nie okazując najmniejszym drgnieniem wstępu, który go opanował. Zmuszono go do objęcia stanowiska komendanta, choć z tytułu wieku miał prawo do emerytury i pozostania w domu. Był oficerem starej daty, cenił uczciwość, szlachetność i wierność tradycjom samurajów. Ale ta wojna, rozpętana przez fanatycznych wyznawców imperializmu, była daleka od tego, do czego stary oficer przyzwyczał się w ciągu swego długiego życia. Musiał jednak wykonywać rozkazy, opanowywać wiele razy niechęć i oburzenie, działać wbrew swoim przekonaniom. To, co usłyszał teraz, przekroczyło wszelkie granice. Przez długą chwilę namyślał się, czy ulżyć sobie jakąś ironiczną uwagą, albo wręcz odmówić wykonania zbrodniczego rozkazu. Nie znalazł na to jednak siły. Powiedział służbiście:

- Może pan być spokojny, rozkaz zostanie wykonany.

Tymczasem na placu apelowym wrzało. Po pierwszym odruchu niedowierzania tłum więźniów dał się porwać fali entuzjazmu. Twarze, nie znające uśmiechu od wielu już miesięcy, teraz promieniały. Wszyscy z ożywieniem rozprawiali, co normalnie na placu apelowym było nie do pomyślenia. Przed każdą grupą więźniów, uszeregowanych według baraków, postawiono kosz, a blokowi zaczęli rozdawać po jednej bułce. Między grupami uwijali się dwaj fotoreporterzy, nakręcając filmy i wyszukując sceny, w których radość więźniów była szczególnie uderzająca.

---

<sup>1</sup> Niech żyje.

Rozkaz japońskiego dowództwa został skrupulatnie wykonany. Cały obóz rozwiązano po trzech dniach, a wszyscy jeńcy rozjechali się do domów uszczęśliwieni i chwalcący wielkoduszość Japończyków. Radość ich zgąsłaby jednak natychmiast, gdyby wiedzieli, że za kilka dni zaczną cierpieć, chorować i umierać. Nie tylko zresztą umierać sami, ale zakażać swoich najbliższych – rodziców, żony, dzieci.

Ten perfidny sposób niszczenia ludności nie był jedyny. Japońskie grupy dywersyjne stosowały jeszcze inne.

W bazie jednej z grup ekspedycyjnych porucznik Tokatsu dawał ostatnie polecenia pięciu grupom dywersyjnym:

- Waszym zadaniem jest rozsiewanie bakterii na tyłach naszej wycofującej się armii. Bakterie tyfusu, cholery i paratyfusu znajdują się wewnątrz tych oto bułeczek. – Tu wskazał na kilkanaście tac ustawionych jedna na drugiej. – Każdy dostanie do plecaka czy walizki dwadzieścia bułeczek. Będziecie nimi częstować Chińczyków, najlepiej dzieci, bo te są najbardziej łakome. Możecie też zostawiać bułki w chińskich chatkach, niby przypadkiem, przez zapomnienie. Dostaniecie też po pudełku czekoladek. Każda z nich zawiera ładunek tych bakterii. Przypominam, że obowiązuje najściślejsza tajemnica, a także ostrożność. Jesteście zaszczepieni, ale może się zdarzyć, że nieostrożne obchodzenie się z bakteriami spowoduje i u was chorobę. A teraz w drogę.

Tak rozpoczęła się groźna epidemia. Już w trzy tygodnie później gazety chińskie donosiły o tysiącach zachorowań i masowych zgonach wśród biednej, znękaną wojną ludności; pisały o nieznanym źródle epidemii tyfusu brzuszno i paratyfusu. Chińskie ekipy sanitarne usiłowały opanować epidemię, izolowały chorą ludność w obozach kwarantanny, a jednocześnie gorączkowo szukały źródła zakażeń. Niestety, nie udało się go wówczas wykryć. Wybuch epidemii kładziono na karb prymitywnych warunków mieszkaniowych, braku elementarnej higieny i małej odporności wycieńczonego nędzą organizmu.

Prawda wyszła na jaw dopiero po wojnie, w toku procesu japońskich przestępców wojennych, który odbył się w Chabarowsku w końcu 1949 r.

## Broń masowej zagłady

Aby zrozumieć, jak doszło do tych wydarzeń, cofnijmy się do roku 1936, kiedy w wielkiej sali konferencyjnej japońskiego ministra wojny w Tokio zebrało się około 60 osób, reprezentujących siły zbrojne Japonii, rząd i sfery naukowe.

- Wielce szanowni panowie! – otworzył zebranie tęgi i niski gen. Bushikawa. – Mam zaszczyt powitać was w imieniu Jego Cesarskiej Mości i otworzyć zebranie, którego wyniki mogą mieć dla naszego kraju doniosłe znaczenie. Od początku prób, jakie na zlecenie Jego Cesarskiej Mości były podejmowane dla zbadania możliwości użycia bakterii w walce z naszymi odwiecznymi wrogami, jest to pierwsze tak liczne zgromadzenie.

Na sali nastąpiło lekkie ożywienie, rzecz wydawała się wszystkim nader ciekawa.

- Próby rozpoczęliśmy już kilka lat temu – kontynuował Bushikawa. – Zrazu w skromnym co prawda zakresie, ale to, co uzyskaliśmy, utwierdziło nas w przekonaniu, że Japonia powinna rozbudować jak najszersze badania w tym kierunku. Dotychczas badania prowadziliśmy w jednym tylko ośrodku, na małej wyspie, odizolowanej całkowicie od otoczenia. Stworzyliśmy tam naszym naukowcom warunki, w których do życia i pracy naukowej w wytyczonym kierunku nie brakowało im niczego. Pierwszy etap tej pracy został już zakończony z pomyślnym wynikiem. – Mówca powiódł wzrokiem po twarzach zdradzających najwyższe zainteresowanie. – Obecnie stoimy u progu etapu drugiego. W związku z tym właśnie pozwoliliśmy sobie panów tu zaprosić. Musimy bowiem przedyskutować możliwość szerokiego rozwoju badań, które pozwolą nam na masowe wykorzystywanie bakterii jako potężnego środka niszczenia wrogów i które przyczynią się do powiększenia chwały naszego władcy, Jego Cesarskiej Mości. Oddaję teraz głos panu majorowi Ishii Shiro, doktorowi medycyny i bakteriologowi, który ze światowymi wynikami badań w swojej dziedzinie wiedzy zapoznał się dokładnie podczas długiej podróży po Ameryce Północnej i krajach Europy, a obecnie od kilku lat intensywnie pracuje nad zagadnieniem wojny bakteriologicznej.

Dr Ishii wstał i ściskając pod pachą gruby plik papierów podszedł do mównicy, starannie umieścił swój bagaż, włożył okulary i zaczął mówić cichym, monotonnym głosem.

Po kilkunastu minutach przez piękną, rozjarzoną setkami lamp salę powiało nudą.

- Ten nas zameczy – westchnął jeden ze słuchaczy w mundurze pułkownika.

- Że też diabli nadali tu naukowca – szepnęli druzgocini. – Jeżeli on chce to wszystko przeczytać, co przed nim leży, posiedzimy tu ładnie kilka godzin.

Ludzie ci mylili się jednak. Wprawdzie mówca rzeczywiście nie odznaczał się błyskotliwością, lecz to, co mówił, było tak niezwykle, że słuchacze po pierwszym odruchu zniecierpliwienia zaczęli się uważnie przysłuchiwać, a wkrótce byli bez reszty pochłonięci referowanym zagadnieniem.

Młody doktor mówił o nie wykorzystanym dotychczas obiecującym orężu, jakim mogą stać się zarazki; o tym, że badania w tym kierunku są już prowadzone w kilku krajach na świecie i że nowa broń może przynieść Krajowi Wschodzącego Słońca niezwykle korzyści.

- Możemy z bakterii stworzyć potężną armię naszych sojuszników – mówił. – Możemy zaprząć je do akcji tak niszczycielskiej, jakiej nie byłaby w stanie dokonać żadna inna broń. Najbardziej niszczące bomby, zrzucone z tysięcy samolotów, nie są w stanie dokonać wśród ludzi, zwierząt i roślin takiego zniszczenia, jak bakterie. Możemy zabijać ludzi masowo, możemy ich głodzić przez zniszczenie ich źródeł żywności, a więc zwierząt i roślin. Nieprzyjacielscy żołnierze mogą ginąć bezpośrednio wskutek ciężkich chorób lub też mogą być zdeorganizowani przez głód i strach. Ostatni etap prowadzonych przez nas badań wykazał, że istnieją ogromne możliwości zastosowania bakterii jako broni masowej zagłady. W szczególności idzie tu o bakterie dżumy, znanej szeroko pod nazwą „czarnej śmierci”, dalej cholery, tyfusu brzuszego i paratyfusu, te bowiem działają również szybko i radykalnie, a ponadto dają się łatwo rozsiewać, co jest również niezwykle ważne. Interesująca jest też grupa chorób zwierzęcych, takich jak wąglik czy nosacizna, te bowiem nie tylko atakują same zwierzęta, lecz i ludzi, powodując szybkie wyczerpanie i śmierć.

Dalej dr Ishii przytaczał liczne przykłady, sygnalizując cyframi dziesiątków i setek tysięcy ofiar pochłanianych przez zarazy, przewalające się przez Europę i Azję.

Działanie zarazków miało w historii – jak wynikało z tych wywodów – większy wpływ na przebieg wojen niż najbardziej nawet wymyślne plany generałów. Fale epidemii dżumy, ospy, cholery, malarii, żółtej febry, tyfusu, dyzenterii, grypy – niszczyły ludność, dziesiątkowały armie i zmieniały przebieg wojen.

„Czarna śmierć” była postrachem Europy w średniowieczu, szczególnie w czternastym wieku. W ciągu zaledwie trzech lat zabiła wówczas czwartą część całej ludności Europy zachodniej, wyludniając wsie i miasta.

Oprócz dżumy przewalały się przez Europę – nie mówiąc już o Azji czy Afryce – fale równie strasznych epidemii cholery, tyfusu, ospy, kiły, zabijając wielokrotnie więcej ludzi niż wszystkie ówczesne wojny.

- Z historii pierwszej wojny światowej wiemy – mówił doktor – jakie spustoszenia wśród żołnierzy w Europie czyniły zarazki grypy, tyfusu i dyzenterii. Wystarczy wspomnieć, że epidemia grypy, która przewaliła się przez Europę tuż po zakończeniu wojny, zniszczyła znacznie więcej ludzi niż mordercze działania wojenne w ciągu długich pięciu lat. Jeżeli będziemy rozpatrywać zjawiska w skali światowej, to jeszcze dziś stwierdzamy choroby, które powodują większe katastrofy wśród ludności niż jakiegokolwiek inne kataklizmy. Mam tu na myśli malarię, która co roku zabija ogromną liczbę ludzi. Można więc śmiało powiedzieć, że właśnie zarazki mogą stać się znakomitą bronią masowej zagłady. Trzeba tylko umiejętnie je wykorzystać.

Rzecz stawała się coraz bardziej ciekawa. Niejeden z uczestników zebrania po raz pierwszy dowiadywał się o faktach dla siebie wręcz rewelacyjnych.

- Zastanówmy się teraz, jakie są możliwości wykorzystania zarazków podczas wojny – rzucił dr Ishii kolejne zagadnienie, po czym rozwinął przed słuchaczami wizję ataków z powietrza, ziemi i morza, przeprowadzanych przy pomocy owadów zarażonych mikroorganizmami. Owady takie napadałyby na ludzi i zwierzęta, wprowadzając im pod skórę zarazki i w ten sposób powodowały epidemie.

Pełen morderczych pomysłów naukowiec nie ograniczał się do samych zarazków, rozwijał również myśl stosowania silnych jądów do masowego zatrucia rzek, jezior i studzien.

Na zakończenie zwrócił jeszcze uwagę, że broń bakteriologiczna jest najtańsza, w warunkach zaś japońskich – najbardziej dostępna i ekonomiczna.

- Jeżeli chcemy panować nad Azją – mówił – musimy mieć do dyspozycji broń masowej zagłady. Nie mamy zbyt wiele surowców potrzebnych do produkowania dział, czołgów, samolotów i okrętów, mamy jednak nieograniczone możliwości produkowania zarazków. Z tych więc względów wydaje mi się ważne zwrócić uwagę moich wielce szanownych słuchaczy na pilną konieczność znacznego rozszerzenia badań w zakresie przygotowania broni bakteriologicznej.

Skończywszy, skłonił się z szacunkiem, starannie pozbierał notatki i odszedł na swoje miejsce. Na sali przez długą chwilę panowała cisza.

Przytaczane przez mówcę argumenty były silne i przekonujące, można więc było przypuszczać, że myśli dr Ishii znajdują wśród zgromadzonych specjalistów wojskowych pozytywny oddźwięk. Istotnie bowiem, jeśli można niszczyć wroga masowo, radykalnie i tanio, to nie pozostaje nic innego, jak tę znakomitą broń jak najszybciej wykorzystać.

Była jednak i druga strona medalu.

- Mój wilcze szanowany przedmówca w swym niezwykle interesującym wykładzie omówił same tylko dodatnie strony broni bakteriologicznej – zwrócił uwagę jeden z dyskutantów, pułkownik sztabu generalnego, Sasaki. – Ja jednak myślę, że trzeba uświadomić sobie i ujemne jej strony. Jedną z nich jest niebezpieczeństwo zakażenia własnych żołnierzy. Jeżeli zarazki zniszczą kraj wroga, nasi żołnierze nie będą tam mogli wejść, gdyż sami staliby się ofiarami. Poza tym epidemie mogłyby przerzucić się z terenów wroga na nasz własny i spowodować szkody w naszym kraju. Należałoby więc zawczasu pomyśleć o rozwiązaniu tego problemu. A może nawet, po dokładnym rozważeniu plusów i minusów, w ogóle zrezygnować z pomysłu dr Ishii, a uwagę skupić na dotychczasowych, wypróbowanych rodzajach broni.

W dalszym ciągu pułkownik Sasaki rozwijał myśl o intensywnej rozbudowie broni pancernej, sam bowiem był specjalistą od taktyki działania czołgów.

Po nim zabrał głos naukowiec w cywilnym ubraniu, siwowłosy prof. Kisawa.

- Wszyscy moi przedmówcy wykazali wielką troskę o przyszłość naszego kraju i Jego Cesarskiej Mości. Zastanawiali się nad morderczym działaniem bakterii, obliczali, jak wielkie szkody można wyrządzić wrogowi, ile ludzi zniszczyć małym kosztem, jak uzyskać łatwe zwycięstwo. Nikt jednak nie pomyślał o innej sprawie. Wielce szanowni słuchacze! Czy można obojętnie, w zimny i wyrachowany i wyrachowany sposób planować zniszczenie ludności? Od wieków wojny toczą tylko żołnierze, a więc ludzie specjalnie powołani i ćwiczeni w rzemiośle wojennym. Gdy żołnierz cierpi z powodu zranienia, czy umiera na polu bitwy, wie, że to jest sprawiedliwe, bowiem sam nastawał na zdrowie i życie nieprzyjacielskiego żołnierza. Pytam się was jednak, panowie tu zgromadzeni, czy słuszną sprawą jest masowe niszczenie całej ludności, jak to projektuje dr Ishii, ludności cywilnej, spokojnej, nie biorącej udziału w działaniach wojennych. Przecież zarazki nie oszczędzałyby nikogo, zabijałyby zarówno żołnierzy, jak cywilów – kobiety, dzieci i starców. Czy możecie sobie wyobrazić, jak wielki to byłby wstrząs dla naszego sumienia?

Profesor nie zdążył skończyć, gdy na sali podniósł się szmer oburzenia. Z początku trudno było zrozumieć, o co idzie, później jednak zaczęły dobiegać pojedyncze podniesione głosy:

- Bzdura. Co za śmieszny obrońca ludzkości. Czy to jest Japończyk, czy nasłany agent? Kogo on tu będzie załował? Precz z nim...

Siwowłosy profesor usiadł zgnębiony, zdjął okulary i zaczął je starannie przecierać, nie zwracając uwagi na złośliwe docinki i wyzwiska. Niestety, na sali znajdowała się znaczna większość wojskowych.

Profesora bolało to, że nikt poza nim nie zaprotestował, nikt go nie poparł, choć wśród zebranych było kilkunastu pracowników naukowych, znanych i poważanych za długie lata pracy dla dobra nauki.

Czyżby stchórzyli albo serca ich stały się nieczułe na odruchy humanitaryzmu?

Jak nietrudno się domyślić, samotny protest profesora nie zaważył na decyzji japońskich militarystów. Ani cesarz Hirohito, ani sztab generalny nie kierowali się bynajmniej humanitaryzmem. Ich cele były dawno określone: Japonia musi stać się wielkim mocarstwem i objąć kierowniczą rolę w porządkowaniu Azji, a potem całego świata, musi bezwzględnie niszczyć wszystkich, którzy odważą się stanąć na drodze do jej panowania nad światem.

Tak więc myśl dr Ishii trafiła na dobry grunt. W sztabie generalnym zaczęto opracowywać plany rozbudowy badań nad możliwością zastosowania broni bakteriologicznej. W wyniku tego już w kilka lat później rozkazem Jego Cesarskiej Mości powołano do życia dwa ośrodki badań bakteriologicznych, zapewniając wszelkie potrzebne ku temu środki. Rozkaz był opatrzony klauzulą najwyższej tajności.

Ośrodki zlokalizowane zostały bynajmniej nie w Japonii, lecz w podbitej przed kilkoma laty przez wojska japońskie Mandżurii.

Z dala od kraju łatwiej było zapewnić badaniom największą tajemnicę. Jednocześnie lokalizacja taka zabezpieczała własną ludność przed groźbą epidemii, a również – co szczególnie akcentowali wyżsi oficerowie – sztab generalny miałby wytwórnię bakterii w pobliżu granicy Związku Radzieckiego, czyli na wypadek wojny pod ręką. A o wojnie takiej w myślano w Japonii od dawna...

Jak oceniali wojskowi, sprawa była delikatna, mogła wywołać oburzenie wśród zdrowo myślącej ludności w kraju i narobić niemało wrzawy za granicą, powodując poważne komplikacje w stosunkach Japonii z innymi państwami. Należało więc działać ostrożnie, zachowując jak najgłębszą tajemnicę.

Na wniosek dr Ishii, który wkrótce awansował już do stopnia pułkownika i otrzymał miejsce w sztabie generalnym, jeden z ośrodków otrzymał nazwę „Urząd Zapatrzenia w Wodę i Profilaktyki Armii Kwantuńskiej”, a drugi – „Urząd Chorób Koni Armii Kwantuńskiej”. Oba ośrodki zostały umieszczone w pobliżu granicy radzieckiej, jeden w odległości około 20 km na południe od Charbina, drugi koło miasta Czangczun.

Gdy w Europie rozpalila się wojna, ośrodki były już w pełnej rozbudowie. Stworzono też całą sieć filii i ekspozytur, aby na wypadek nieprzyjacielskiego ataku z powietrza nie uległa zniszczeniu od razu cała praca włożona w przygotowanie broni bakteriologicznej.

Po napaści Hitlera na Związek Radziecki postanowiono badania bakteriologiczne rozszerzyć i wzmocnić, a tajemnicy ich strzec jeszcze bardziej. Umieszczony koło Charbina „Urząd Zapatrzenia w Wodę i Profilaktyki Armii Kwantuńskiej” przemianowano na jednostkę nr 731, zaś „Urząd Chorób Koni Armii Kwantuńskiej” – na jednostkę nr 100.

W tym czasie istniała już cała sieć ekspozytur. Jednostka nr 731 obejmowała 3000 osób personelu, w większości naukowców (bakteriologów, chemików, lekarzy, weterynarzy) i oficerów. W pobliżu Charbina powstało całe miasteczko wojskowe, gdzie w ścisłej izolacji od świata mieszkali pracownicy jednostki wraz z rodzinami. Praca badawcza była prowadzona w nowoczesnie urządzonej laboratoriami, a do badań na wolnym powietrzu służyły specjalne poligony. Obok znajdowało się lotnisko, na którym stacjonowały samoloty, przeznaczone wyłącznie do użytku w celach „naukowych”.

Wewnątrz dużego czworoboku budynków centralnych, w których znajdowały się laboratoria, stał na dziedzińcu budynek tajnego więzienia – miejsce kaźni i doświadczeń przeprowadzanych na ludziach.

Cały teren jednostki nr 731 był niezwykle czujnie strzeżony. Zabudowania właściwego ośrodka zostały otoczone wysokim wałem ziemnym, a oprócz tego szczelnym płotem, przez który nie sposób było cokolwiek dojrzeć. Z zewnętrznej strony ogrodzenia przez całą dobę chodziły patrole. Na drodze prowadzącej do wejścia już w odległości paruset metrów stały duże tablice z napisem: *Teren wojskowy ściśle strzeżony. Wstęp tylko za przepustkami podpisanym przez naczelnego dowódcę Armii Kwantuńskiej.*

Przed niepożądanymi obserwacjami z powietrz chroniono teren surowym zakazem przelotów. Wszystkie linie lotnicze japońskie i zagraniczne zostały powiadomione o zakazie przelotu w strefie stacji kolejowej Pingfan, na południe od Charbina.

Cała ludność mieszkająca w pobliżu jednostki nr 731 była pod stałą kontrolą i obserwacją żandarmerii wojskowej, działającej zarówno w mundurach, jak i w ubraniach cywilnych. Najmniejsze podejrzenie wystarczyło do wysiedlenia albo aresztu i ciągnących się miesiącami przesłuchań.

Szef sztabu Armii Kwantuńskiej wydał w związku z ustanowieniem strefy wojennej w rejonie Pingfan ściśle tajny rozkaz o następującym brzmieniu:

*Ściśle tajne*

SZTAB ARMII KWANTUŃSKIEJ  
I Oddział  
30 czerwca 1938 r. Nr 1539  
SZEFE SZTABU ARMII KWANTUŃSKIEJ

### **O ustanowieniu specjalnej strefy wojennej w rejonie Pingfan**

Na podstawie rozkazu podaję do wiadomości, że w danej sprawie powzięto następującą decyzję:  
Stronica 32.

1. Budynki jednostki Ishii w Pingfan (na terenie obwiedzionym zewnętrznym ogrodzeniem) uważać za budynki o specjalnym znaczeniu.
2. Zgodnie z przepisami o przestrzeganiu ustawy o zachowaniu tajemnicy wojskowej w Mandżurii uważać strefę „KO”, oznaczoną na załączonym szkicu, jako teren „KO” strefy trzeciego stopnia. Teren ten obejmują wszystkie ograniczenia wypływające ze wspomnianych wyżej przepisów.
3. W strefie „OCU”, oznaczonej na załączonym szkicu, zabrania się wznoszenia nowych budynków wysokości ponad dwa piętra.
4. Wprowadza się dla cywilnego lotnictwa trasę powietrzną i zakazaną strefę powietrzną.
5. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego Mandżukuo poda do wiadomości granice stref „KO” i „OCU” oraz wprowadzone ograniczenia. Dowodzący zaś obroną zawiadomi o strefie, w której znajdują się budynki wojskowe.
6. Powyższe podać do wiadomości tylko jednostek których to bezpośrednio dotyczy. Nie dawać żadnych oficjalnych obwieszczeń.

**Szef sztabu Armii Kwantuńskiej**

Ruch na szosie prowadzącej z Charbina do jednostki nr 731 nadal jednak był ożywiony. Jeździły wozy osobowe, jeździły ciężarówki wyładowane jakimiś materiałami, czasem zaś przejeżdżały wielkie wozy ze szczelnymi budami o jednym tylko, zakratowanym okienku.

Okoliczna ludność była tak wystraszona, że z daleka omijała tajemniczy ośrodek, gdy zaś ktoś z obcych usiłował, z prostej zresztą ciekawości, dowiedzieć się czegoś, spotykał się z milczeniem.

### **Zadżumione pchły**

Tego dnia radośnie było w domu kolejarza Sung Czaosan, zatrudnionego na małej stacyjce kolejowej w pobliżu miasta Ningpo na południe od Szanghaju.

Bywa tak niekiedy w życiu, że zdarzenia – czasem dobre, czasem złe – nadchodzą seriami. W rodzinie Sung Czaosana serie złe były niestety częste, na serie zaś dobre trzeba było wyczekiwać latami. Zarobki kolejarza były niewielkie, a liczna rodzina potrzebowała dużo żywności i ubrania. Toteż głód nie był rzadkim gościem w ubogiej, lecz schludnej siedzibie Czaosanów.

Dziś jednak Sung był promieniejący. Starszy syn Fu przyniósł znakomite stopnie ze szkoły, dziesięcioletnia Li dostała pochwałę za dobre postępy w śpiewie i tańcu, najważniejsze jednak było to, że ukochana żona Li-sui urodziła nad ranem zdrowe dziecko.

Wprawdzie fakt ten poważnie zwiększył kłopoty związane z utrzymaniem rodziny, ale pracowity Sung o tym nie myślał. Jak każdy Chińczyk, cieszył się nowym potomkiem.

Śpiewając więc radosną pieśń, pożegnał czule małżonkę i ruszył w obchód swojego odcinka, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku na torach kolejowych.

Przepuścił pędzący z Hangezou pociąg osobowy i zamierzał już zawrócić, gdy nagle zaskoczył go zbliżający się od strony morza warkot samolotów. Przeleciały nad nim nisko, tak nisko, jak jeszcze nigdy dotąd. Sung widział japońskie znaki na skrzydłach, a nawet dostrzegła głowę pilota. Dlaczego leciały tak nisko? – zastanawiał się kolejarz. – Co miały do roboty w tym rejonie, odległym od szlaków komunikacyjnych i wielkich miast?

Samoloty nie poleciały daleko, zatoczyły koło i zawróciły, lecąc nad dachami miasteczka. Gdy zbliżyły się znowu, Sung zauważył, że na skrzydłach mają umocowane jakieś skrzynki, z których co chwila odrywają się i rozpraszają w powietrzu małe obłoczki jakby kurzu.

Co to może być? Czy coś zrzucają? Ale co? – myślał.

Samoloty, jakby uparły się penetrować osiedle, zatoczyły jeszcze kilka kręgów, potem zawróciły i wreszcie poleciały dalej, nad rozległe osiedle Chuchi.

Sung był zaniepokojony. Znał dobrze Japończyków i wiedział, że nic dobrego nie można się po nich spodziewać. Każde zetknięcie z tymi „zamorskimi diabłami”, które tyle klęsk sprowadziły na Chiny, przynosiło nowe nieszczęście. Co wymyślili tym razem?

Wieczorem Sung spotkał się z sąsiadami i wspólnie rozmawiali o niezwyklej wizycie wrogich samolotów. Przypuszczenia wysuwano różne, trudno jednak było którekolwiek z nich przyjąć bez zastrzeżeń. Wszyscy zgadzali się tylko z jednym – samoloty japońskie coś zrzucają.

Nazajutrz jednak zainteresowanie niezwyklej wizytą osłabło, a w parę dni później przestano ją w ogóle wspominać.

Tymczasem zaczęły się nowe kłopoty, które wkrótce pochłonęły uwagę całego osiedla: jeden po drugim zaczęli chorować ludzie.

Choroba zjawiała się nagle, atakowała człowieka choćby najbardziej nawet zdrowego. Następowaly dreszcze, z początku słabe, potem coraz silniejsze, podnosiła się szybko gorączka. Chorzy skarżyli się na silne bóle głowy, mięśni i stawów. Puchły języki i pokrywały się białym nalotem, wyglądały tak, jakby zostały przez kogoś natarte kredą. Dokuczała suchość w ustach. Mowa stawała się niezrozumiała, bełkotliwa, krok chwiejny. Człowiek był niespokojny, chciał przed czymś uciekać, tracił przytomność, a wreszcie umierał.

Błady strach padł na osiedle. Stało się jasne, że nadeszło jedno z największych nieszczęść, jakie od wieków gnębiły Chiny.

- Dżuma – powtarzali bezradnie zrozpaczeni ludzie.

W rodzinie Sunga pierwszą ofiarą „czarnej śmierci” padła najmłodsza córeczka, urodzona właśnie przed czterema dniami. Cierpiała chyba krótko. Rano nie miała apetytu, w południe była rozpalona gorączką, a wieczorem już nie żyła. Sztynne ciało, zawinięte w chustę, Sung zagrzebał tam, gdzie nakazały władze – pod pagórkem, gdzie zwykle grzebano zmarłych na zakaźne choroby.

Sung nie mówił nic. Był spokojny, tylko twarz mu pobladła, a oczy dziwnie świeciły, kiedy patrzył na szlochającą w kącie żonę.

Na drugi dzień zmarła dziesięcioletnia Li, a w nocy ten sam los podzieliła żona. Epidemia dżumy zaczęła kosić ludność całego osiedla. Pod pagórek za miastem ciągnęły już niemal bez przerwy żałobne kondukt. W ciągu tygodnia zaraza zabiła ponad 150 osób.

Na miejsce zjechała ekspedycja lekarska z Szanghaju. Lekarze – zakapturzeni i szczelnie okryci białymi płaszczami, w dużych okularach i gumowych długich butach – wyglądali niesamowicie. Obecnością swoją jeszcze bardziej pogłębiali nastrój przygnębienia. W rozstawionych naprędce namiotach rozdawano leki, w mieszkaniach dotkniętych zarazą przeprowadzono dezynfekcję, ludność zaś usuwano do namiotów kwarantanny.

Wszystko to jednak niewiele pomagało. Liczba chorych wprawdzie zmalała, ale nowe zachorowania zdarzały się z dnia na dzień.

Służba zdrowia zaczęła badać przyczyny epidemii. Sprawa była zagadkowa, tradycyjnie bowiem dżuma pojawiała się najpierw u szczurów, a tym razem nie znaleziono żadnego chorego ani martwego szczura.

Sprawa stała się głośna. Pisały o niej gazety w Szanghaju, omawiając przebieg epidemii, podając idące już w tysiące liczby ofiar i nawołując do przestrzegania surowych zarządzeń ochronnych.

Zagadkę rozwiązał dopiero jeden z lekarzy przybyłych z uniwersytetu w Szanghaju. Profesor Uan Ing, po zebraniu informacji wśród miejscowej ludności, rozpoczął intensywne poszukiwania.

W jakim związku pozostaje groźna epidemia z pojawieniem się w tym rejonie japońskich samolotów? Co zawierały przymocowane na ich skrzydłach tajemnicze skrzynki?



Pytania te skierowały uwagę uczonego na pchły. Znalazłszy dwa okazy, zniósł je do swego namiotu i tam poddał badaniom. Pod mikroskopem stwierdził obecność licznych krótkich pałeczek. Nie ulegało wątpliwości, że są to bakterie dżumy. Jakkolwiek sprawa była jasna, profesor postanowił przeprowadzić jeszcze jedno badanie, tym razem na żywym, zdrowym szczurze. Obie pchły przeniósł delikatnie, z zachowaniem wszelkich ostrożności, na szczura i wpuścił je do sierści. Na trzeci dzień szczur zachorował na dżumę i zdechł.

Podejrzenia profesora potwierdziły się, zwłaszcza że pchły znalazł w polu. Trudno byłoby przypuścić, że pozostawił je tam szczur. Szczury nie zapuszczają się tak daleko poza osiedla ludzkie, a poza tym pchły zbyt dobrze czują się na skórze szczura, aby ją opuszczać.

Spowodowana przez Japończyków epidemia dżumy pochłonęła tysiące ofiar w rejonie Ningpo i tylko dzięki zdecydowanej akcji lekarzy z Szanghaju nie rozeszła się szeroko po kraju. Kto wie, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie energiczne środki zapobiegawcze.

Cała sprawa wywołała oczywiście wiele komentarzy, ale tylko wśród miejscowej ludności i lekarzy szanghajskich. Gazety chińskie w Szanghaju, będące pod kontrolą Japończyków, nie zamieściły nawet jednego słowa podejrzenia, ograniczając się tylko do opisu przebiegu epidemii. Japończycy z oburzeniem odrzucali wszelkie zarzuty, nazywając je „bezczelnymi bzdurami”.

Jak jednak sprawa przedstawiała się w istocie?

## Tajny ładunek

Tego ranka sierżant Masuka był w wyjątkowo złym humorze. Krzyczał, wymyślał swoim żołnierzom, groził najsurowszymi karami. Przyczyną tego był rozkaz, który poprzedniego dnia nieoczekiwanie otrzymał od porucznika Kosaki i który zatrzymał sierżanta na cały dzisiejszy dzień na lotnisku. Masuka od kilku już dni cieszył się, że pojedzie do Charbina, gdzie miał odwiedzić swoją miłą dziewczynę Pao-sy. Aż tu nagle ten przeklęty rozkaz, przykuwający o na cały dzień...

Poganiani krzykiem żołnierze załadowali już na samochody całą górną skrzynek, po czym sznur ciężarówek wyjechał za bramę i skierował się na pobliskie lotnisko.

- Teraz będziecie ustawiać skrzynki na lotnisku! – krzyczał, gdy przyjechali na miejsce. – Równy, w jednakowych odstępach i szybko. Niech no który z was spróbuje coś pokręcić, to nie pomogą mu żadne duchy przodków – denerwował się.

Ale do realizacji strasznych gróźb nie doszło, gdyż żołnierze uwinęli się szybko. Skrzynki, poustawiane rzędami w równych, dwumetrowych odstępach, zajmowały rozległą przestrzeń.

Następnie sierżant rozdał żołnierzom pędzle i wiaderka z gęstym klejem, nakazując wysmarować dna skrzynek. Gdy wszystko było gotowe, przeszedł jeszcze raz wzdłuż każdego rzędu i sprawdził, czy rozkaz został dobrze wykonany. Spojrzał na zegarek – dochodziła dziesiąta, a więc udało się pracę wykonać w terminie. Sierżanta poczuł nareszcie ulgę. Za chwilę powinien przylecieć samolot – pomyślał.

Istotnie, od strony Charbina doszedł wprawdzie szum silnika, a następnie ukazał się ciężki, wolno i nisko lecący samolot. Gdy znalazł się w pobliżu otwartych skrzynek, pilot nacisnął dźwignię, a z umieszczonych na końcach skrzydeł zbiorników zaczęło się coś wysypywać.

- *Are wa nami desuka?* Co to jest? – dziwili się żołnierze, obserwujący samolot.

- Zaraz zobaczycie, nie śpieszcie się tylko do skrzynek, bo takie pchły was obleżą, że będziecie się drapać jak psy – gderał sierżant.

Samolot zatoczył nad lotniskiem koło, potem drugie, trzecie i czwarte, a z jego skrzydeł ciągle odrywały się wciąż ciemne obłoczki.

Gdy samolot wreszcie odleciał, żołnierze pobiegli do skrzynek. Na dnie niektórych z nich czerniały przyklepione do kleju pchły – po dwie, trzy i więcej. Sierżant Masuka chodził wzdłuż rzędów i zapisywał liczbę pcheł na dużym arkuszu papieru, przedstawiającego plan lotniska i rozmieszczenie skrzynek.

Teraz żołnierze zrozumieli, dlaczego sierżant kazał im tak starannie smarować klejem dna skrzynek.

- Ale skrzynki nie stoją ciasno obok siebie, co się więc stało z pchłami, które upadły na ziemię, a nie do skrzynek? – zapytał jeden z żołnierzy.

- Siedzą teraz na tobie i będą smakowały twoją szlachetną krew – śmieli się koledzy.

- O co właściwie tu chodzi? – pytał żołnierz dalej. – Co mają pchły wspólnego z wojskiem?

- A bo, widzisz, nasze dowództwo chce zarzucić parszywych Chińczyków, a może i Rosjan, pchłami. Jak nieprzyjacielscy żołnierze zaczną się drapać i podskakiwać, nie będą mogli strzelać, a my wtedy na nich. Pozabijamy ich bez trudu – żartował jedno ze znanych w kompanii wesołków.

Sierżant Masuka roześmiał się głośno.

- Pewnie, to nowy sposób prowadzenia wojny. Ale zresztą lepiej nie mędrkować. Żołnierz jest po to, żeby słuchał rozkazów, a nie wymyślał bzdury. Trzymajcie język za zębami!

Na początku lipca 1941 r. w gabinecie dowódcy „Urzędu Zaopatrzenia w Wodę i Profilaktyki Armii Kwantuńskiej”, doktora Ishii, odbyło się zebranie z udziałem wyższych oficerów i kierowników.

- Wielce szanowni panowie – mówił generał. – Myślę, że zdajecie sobie sprawę z wagi ostatnich wydarzeń politycznych i rozumiecie, jaki one będą miały wpływ na naszą działalność. Niemcy są w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, wojska hitlerowskie idą szybko naprzód i wygląda na to, że Armia Radziecka nie zdoła się obronić. Nie sądzę jednak, aby Związek Radziecki dał się tak łatwo pokonać. Być może, po pierwszym okresie niepowodzenia nastąpi jakiś przełom. W każdym jednak razie ostatnie wydarzenia zmuszają nas do zmiany stanowiska. Fakt, że nasza jednostka jest umieszczona nie w Japonii, lecz tu, w Mandżurii, i że ekspozytury nasze znajdują się wzdłuż granicy radzieckiej, nie jest, oczywiście, sprawą przypadku. Z tego zdajecie sobie chyba, panowie, dobrze sprawę. Nasze dotychczasowe badania i prace w zakresie broni bakteriologicznej dostarczyły mnóstwo pouczającego materiału. Zrobiliśmy już wiele – począwszy od ustalenia kierunków rozwoju broni bakteriologicznej aż po hodowlę, i to w skali masowej, samych bakterii. Wiemy, które z nich i w jakich warunkach mogą nam oddać największe usługi! Ogólnie więc można powiedzieć, że na pierwszym etapie dobrze wykonailiśmy swoje zadania. Obecnie wypadki w Europie zmuszają nas do jeszcze bardziej intensywnej pracy. Ni jest wykluczone, że najbliższa przyszłość stworzy pilną potrzebę zastosowania broni bakteriologicznej przeciwko naszemu najbliższemu sąsiadowi.

Zebrani w gabinecie oficerowie i cywile z zainteresowaniem przysłuchiwali się wywodom mówcy. Niejeden z nich myślał pewnie przy tym o błyskawicznej karierze lekarza, który stał teraz przed nimi w szlifach generalskich.

- Zanim to jednak nastąpi – powrócił tymczasem Ishii do przerwanej wywodu – musimy wykorzystać okazję wypróbowania tej broni na Chińczykach. Nasza armia, dowodzona przez Jego Cesarską Mość, stanęła w Chinach już twardą nogą, zajęła blisko połowę kraju ale Chińczycy walczą ciągle. Ostatnio w naszym sztabie generalnym przyjęto mój projekt zaatakowania Chińczyków bronią bakteriologiczną. Na razie idzie o akcję na mniejszą skalę, dla zdobycia doświadczenia. W przypadku gdyby przyniosła ona dobre wyniki, przygotujemy uderzenie większe. Zgodnie z planem, aprobowanym przez sztab generalny, nasza jednostka w najbliższych tygodniach zorganizuje ekspedycję do Chin Środkowych i tam z samolotów zrzuci zadżumione pchły na ludność cywilną. Ekspedycją dowodzę osobiście, moim zastępcą będzie pułkownik Ikari, a szefem naukowym – doktor Tanaka. Udział pozostałych osób zostanie podany do wiadomości w najbliższych dniach. Ekspedycja będzie nosiła kryptonim „Nara”.

Dalej gen. Ishii omawiał szczegóły organizacyjne; podał także, iż decyzją dowódcy Armii Kwantuńskiej „Urząd Zaopatrzenia w Wodę i Profilaktyki” został przeniesiony na jednostkę nr 731 pod kryptonimem „Kamo”.

Zebrani oficerowie i naukowcy opuścili gabinet z głowami nabitymi szeregami liczb i świadomością, że najbliższa przyszłość będzie stawiała daleko większe wymagania niż dotychczas.

Nie minęły dwa tygodnie, a sprawa ekspedycji nabrała realnych już kształtów. Dowódca Armii Kwantuńskiej, gen. Umezu, wydał naczelnikowi kolei, generałowi Kusaba, rozkaz przywiezienia oddziału „Nara” z jednostki wojskowej „Kamo” z Charbian do Chin Środkowych, razem 40 osób wraz z ładunkiem specjalnym. Następnego dnia gen. Kusaba podał swoim podwładnym trasę podróży ze stacji Pingfan koło Charbina – przez Charbin, Czangczun, Mukden, Szngaikuan, Tientsin – do Szanghaju. W uwagach rozkazu zaznaczono, że *ładunek zawiera specjalnie tajne materiały, wskutek czego nazwa ich nie jest wymieniona w wykazie.*

Ładunek ten, w sprawozdaniach i rozkazach nazywany „materiałem wymagającym szczególniejszej tajności”, zawierał w specjalnych metalowych pudełkach, przeznaczonych do umocowania na końcach skrzydeł samolotów, piętnaście milionów pcheł zarażonych bakteriami dżumy płucnej. Niszczycielska siła tego śmiertelnie zakaźnego ładunku mogła znacznie przekroczyć skutki działań zmasowanej artylerii i lotnictwa bombowego.

W metalowych pudłach czaiła się zaraza, siejąca od setek i tysięcy lat postrach wśród chińskiej ludności.

Te właśnie pchły spadły na spokojną ludność w okolicy miasteczka Ningpo koło Szanghaju i spowodowały epidemię „czarnej śmierci”, która zabiła tysiące dzieci, kobiet, starców i mężczyzn w sile wieku – i to w czasie zaledwie jednego miesiąca.

Dowódca wyprawy, gen. Ishii, był przewidujący. Do samolotu więc, który jako pierwszy poleciał rozsiewać bakterie, zabrał również operatora filmowego.

Cała wyprawa – jak wiemy – zakończyła się pełnym sukcesem, co później szczegółowo relacjonował gen. Ishii w raportach do dowódcy Armii Kwantuńskiej.

Film z akcji nad Ningpo wyświetlano wielokrotnie w jednostce nr 731. Czyniono to zwłaszcza wówczas, gdy jednostka wizytowana była przez którąś z wysoko stojących osób. A znakomitych gości w tym czasie nie brakło. Był wśród nich nowy dowódca Armii, gen. Yamada, byli członkowie japońskiej rodziny cesarskiej, książęta Tekada i Mikasa, oraz wyżsi oficerowie sztabu Armii i oficerowie sztabu generalnego.

Film zaczynał się od obrazu, na którym widać było, w jaki sposób należy aparat z zadżumionymi pchłami przymocować do skrzydła samolotu i jak łączyć go z aparatem rozpylającym. Dalej następowało objaśnienie, że zbiorniki zawierające zadżumione pchły są przeznaczone do wywołania epidemii wśród ludności chińskiej.

Następny obraz przedstawiał przygotowania samolotu do startu, wejście 5 ludzi do kabiny, start i lot. Potem widać było, jak samolot zniżał się nad gęsto zabudowane osiedla, a napis na ekranie oznajmiał, że działania wojenne zostały rozpoczęte. Pilot naciskał dźwignię, a z końców skrzydeł samolotu odrywały się małe ciemne obłoczki. *Zadżumione pchły, dzięki specjalnemu urządzeniu do rozpylania, opuszczają zbiorniki* – głosił kolejny napis. Po dalszych kilkunastu obrazach, pokazujących różne sposoby nalatywania na cel, na ekranie ukazywał się napis: *Operacja skończona*. Samolot zawracał i lądował na macierzystym lotnisku. Podjeżdżały do niego samochody dezynfekcyjne, opryskiwały dokładnie, poczym otwierały się drzwi kabiny i ukazywali się pasażerowie: jako pierwszy wychodził gen. Ishii, za nim płk Ikari, dr Tanaka i inni.

Na zakończenie ukazywał się na ekranie napis: *Wyniki ekspedycji* oraz gazeta chińska i tłumaczenie artykułu na japoński. Z artykułu wynikało, że w rejonie Ningpo wybuchła nagle silna epidemia dżumy i że cały rejon musiano ściśle izolować od otoczenia. Pokazano też prowadzoną w tamtym rejonie akcję przeciwepidemiczną na ziemi – umieszczanie chorych w prowizorycznych szpitalach, leczenie, objawy choroby, agonię, usuwanie i grzebanie zwłok, dezynfekowanie pomieszczeń, nawoływanie lekarzy do starannego niszczenia szczurów.

Cały ten film gen. Ishii przechowywał niezwykle pieczołowicie, chwalił się nim przy lada okazji i dawał na wzór do opracowania wytycznych wojny bakteriologicznej.

## **Dziwne „zaopatrzenie w wodę”**

Latem 1941 r. wyruszyła do Chin Środkowych następna ekspedycja, tym razem pod kierownictwem płk Oota. Celem jej było – jak określał rozkaz dowódcy Armii Kwantuńskiej – wprowadzenie dezorganizacji na zapleczu nieprzyjaciela i przerwanie komunikacji wojsk chińskich w mieście Czangte i jego okolicach w pobliżu jeziora Tungting.

W ekspedycji wzięło udział około 100 osób, w tym 30 specjalistów-bakteriologów. Podobnie jak w poprzednim ataku, rozsiewano zadżumione pchły z samolotów tym jednak razem ze znacznie większej wysokości.

Wyniki akcji – jak później raportował płk Oota – były zadowalające, udało się bowiem wywołać lokalną epidemię dżumy i na parę miesięcy zdeorganizować transport kolejowy. Chińczycy musieli zrezygnować z tej linii. W raporcie jednak nie było mowy o tym, że ofiarą epidemii padło ponad 2000 ludności prawie wyłącznie cywilnej, bezbronnej, nie zainteresowanej działaniami wojennymi i nie biorącej w nich udziału.

Nie minął rok, a gen. Ishii po powrocie z Tokio w maju 1942 r. zwołał tajną naradę wszystkich szefów działów i oświadczył:

- Mamy przed sobą nowe zadanie. Zgodnie z poleceniem sztabu generalnego jednostka nasza ma wysłać do Chin Środkowych wielką ekspedycję w celu przeprowadzenia ataków bakteriologicznych na pozycje chińskie. Ataki mają odbywać się w pobliżu linii kolejowych na drodze przewidywanego strategicznego odwrotu naszych wojsk. Tym razem zastosujemy nie tylko bakterie dżumy, lecz również cholery, tyfusu brzuszego, paratyfusu i węgliką. W akcji będzie nas wspomagała jednostka „EJ” 1644 w Nankinie. Kierowników działów proszę o przygotowanie szczegółowych propozycji na odprawę, która odbędzie się za kilka dni.

Gdy przygotowania już zakończono, z jednostki „Kamo” wyruszyła do Nankinu grupa około 200 osób, wioząc śmiertelne bagaże, zawierające 25 kg zadżumionych pcheł oraz 130 kg bakterii paratyfusu i węgliką.

Część personelu i bagażu poleciała drogą powietrzną, część zaś udała się samochodami. Po przybyciu do Nankinu ekspedycja zatrzymała się na terenie tamtejszej „fabryki śmierci”, tzn. jednostki „Ej” 1644, zajmującej się, podobnie jak jednostka nr 731, badaniami i przygotowaniem wojny bakteriologicznej. Jednostka ta, mimo że otoczona największą tajemnicą, znana była ludności chińskiej jako miejsce, gdzie przeprowadzano okrutne doświadczenia na żywych ludziach, gdzie hodowano śmiertelne bakterie i planowano zagładę Chin.

Tam też do grupy charbińskiej dołączono grupę miejscowych funkcjonariuszy i hodowców bakterii, załadowano dodatkowe bagaże ze zbiornikami bakterii cholery, tyfusu, dżumy i zgorzeli gazowej.

- Celem naszym jest sterroryzowanie ludności w rejonach Juszan, Kinhua Fukin przez wywołanie epidemii – mówił gen. Ishii na odprawie oficerów. – Będziemy zarażali ludność przez rozsiewanie zadżumionych pcheł z samolotów, a na ziemi przez zakażanie wody bakteriami cholery i tyfusu. Samoloty będą startowały z Nankinu, jeżeli zaś chodzi o zakażenie wody akcją przeprowadzą grupy dywersyjne. Kierownicy poszczególnych grup opracują szczegóły.

Nazajutrz sanitariusz Furuichi wyładowywał z samolotów przybyłych z jednostki 731 skrzynie, oznaczone napisem *Zaopatrzenie w wodę*. Żołnierzom, którzy przyjmowali je od niego i ładowali na ciężarówkę,

wydawało się co prawda bardzo dziwne, że wodę przysyła się do nich w małych skrzyniach aż z Charbina, nie mówili jednak nic, wiedzieli bowiem, że zbytnia ciekawość, okazywana tajemniczemu ładunkowi, może spowodować dotkliwe kary.

W skrzyniach zresztą – wbrew napisom – nie było bynajmniej wody, leżały natomiast płaskie butelki, starannie poukładane w przegródkach i zabezpieczone przed potłuczeniem. Szyki ich były grubo pokryte lakiem i tłuszczem, wewnątrz zaś przez szkło widać było warstwę brązowej substancji, przyklejonej do dna i ścianek. Na zewnątrz butelki miały przylepione małe kartki z napisem: *Niebezpieczeństwo, traktować butelkę z najwyższą ostrożnością*, i jakimiś liczbami u dołu, za którymi kryły się oznaczenia bakterii.

Żołnierze nie znali szczegółów, ale dawno już orientowali się, że wszelkie tego rodzaju tajemnicze przesyłki trzeba traktować jak niebezpieczne bomby. Dlatego też, choć pracowali szybko, żadna ze skrzynek nie spadła, nie została uderzona, czy zbyt mocno posunięta.

Gdy skończyli ładowanie, sanitariusz Furuichi usiadł koło szofera i powiedział:

- Jedziemy. Ale tak, jakbyśmy wieźli odbezpieczone bomby. Gdybyś na kogo najechał, albo gdyby ktoś najechał na nas, mogłoby się zdarzyć coś, co zdjęłoby twoją i moją głowę.

Skrzynki z napisem *Zaopatrzenie w wodę* trafiły wreszcie do laboratorium, gdzie zakapturzone, biało ubrane postacie przystąpiły do segregowania tajemniczej zawartości. Niektórych butelek nie ruszano, inne zaś odkorkowano, a zawartość przeniesiono do metalowych manierek, takich samych, jakie były w powszechnym użyciu w piechocie japońskiej. Następnie cały zapas butelek zapakowany został i wysłany z powrotem na lotnisko. Tam załadowano go do samolotu, udającego się na miejsce akcji.

Samolot wylądował na polowym lotnisku w rejonie Kinbau, gdzie oczekiwała nań grupa oficerów i bakteriologów. Ładunek przeniesiono do wielkiego namiotu, po czym sprowadzono grupy dywersyjne, złożone z najbardziej sprytnych żołnierzy. Niektórzy z nich mieli na sobie cywilne ubrania.

Ci w mundurach wojskowych otrzymali plecaki, cywile zaś – walizki.

- Otrzymujecie teraz bagaż. Myślę, że nie muszę wam powtarzać, jaki – zwrócił się do żołnierzy porucznik Tokatsu. – Te najróżniejsze świństwa będziecie wrzucać do wody, aby Chińczykom lepiej smakowała. Musicie pamiętać, że jeśli ktoś zobaczy was przy tej zabawie, będziecie wykończeni. Róbcie to najlepiej nocą. Nie może zostać najmniejszy nawet ślad waszej roboty. Szklane butelki trzeba rozbijać tak, żeby na ziemię nie spadł ani jeden odprysk szkła. Wszystko musi pochłonąć woda. Zatruwajcie każdą wodę na waszej trasie, najlepiej głębokie studnie, ale także i stawy, rzeki, jeziora. Jeżeli nie uda się niepostrzeżenie wrzucić butelki, posługujcie się manierkami i wylewajcie zawartość tak, jakbyście wylewali resztkę swojej herbaty. Żadnej manierki nie wolno zostawić. Za brak którejkolwiek z nich każdy będzie postawiony pod sę wojenny. Musicie na siebie uważać – głos porucznika złagodniał. – Każdy z was jest wprawdzie zaszczepiony przeciw tym chorobom, ale lepiej unikać każdej styczności z bakteriami. Są jakieś pytania? Nie? Myślę, że jesteście dobrze przygotowani. A więc w drogę!

Grupy dywersantów rozeszły się i udały na wyznaczone trasy.

Tymczasem wojska japońskie, wykonując rozkaz dowództwa, pośpiesznie wycofywały się na północ. Różnie to komentowano. Jedni twierdzili, że Japończycy nie mogą wytrzymać naporu wojsk chińskich, inni zaś – że to tylko strategiczny manewr, potrzebny do przygotowania nowej ofensywy.

Dywersanci roznoszący miliardy bakterii mieli za zadanie zdeorganizować zaplecze i zostawić miejscową ludność w chaosie epidemii. Gdy nadejdą wojska chińskie, będą miały duże kłopoty z opanowaniem epidemii, a to zapewne znacznie opóźni ich marsz.

## Gen. Ishii zaciera ręce

Wśród sztabowców japońskich cała sprawa wywołała liczne komentarze i niemałe zadowolenie. Okazało się, że przewidywania gen. dr Ishii były słuszne: broń bakteriologiczna może niszczyć ludność skutecznie, wprowadzać zamieszanie, dezorganizować zaopatrzenie nieprzyjacielskich wojsk, siać strach i terror. A przy tym jest to broń tania i łatwa do użycia.

Gen. Ishii zaciera ręce.

Dowództwo Armii Kwantuńskiej, sztab generalny i kierownictwo Ministerstwa Wojny zaczęły przychylnie traktować sprawę nowej broni. Wkrótce znalazły się poważne fundusze na rozwój badań i uruchomienie nowych ośrodków.

Wojna płonęła na Dalekim Wschodzie potężnym pożarem, ale już zaczynały się pierwsze niepowodzenia Japończyków. Wojska ich wprawdzie panowały jeszcze na Pacyfiku i zajmowały ogromne obszary Azji południowo-wschodniej, można już jednak było przewidzieć, że wkrótce sukcesy skończą się.

Na granicy ze Związkiem Radzieckim panował spokój, ale sztabowcy japońscy zdawali sobie dobrze sprawę, że w każdej chwili może tu się rozpętać wojna. Agresja na Związek Radziecki była jedną z podstawowych wytycznych planów japońskich imperialistów, którzy prędzej czy później zamierzali uderzyć i

opanować rozległe obszary Mongolii i Syberii. Sądzieli oni, że nawet w przypadku niepowodzeń na Pacyfiku siły zbrojne Japonii będą mogły rozwinąć z powodzeniem agresję na lądzie.

Obłędna teoria „wyższej rasy” wpajana była w wojsku japońskim już od kilku lat, i to w stopniu jeszcze wyższym niż u hitlerowców. Tym, którzy w Japonii rozpętali ciemne siły rasizmu, szło o to, aby przygotować swój naród do ujarznienia wszystkich narodów Azji i – w dalszej kolejności – do panowania nad całym światem.

- Misją Japończyków na ziemi jest kierować światem. Japonia będzie kołysała nowego Mesjasza – wołał hrabia Utsida, były delegat Japonii na konferencję Ligi Narodów.

Bóg zstąpił na ziemię i wcielił się w cesarza Kraju Wschodzącego Słońca w celu rządzenia rasą Yamoto, rasą ludzi-bogów. Nasze święte Imperium jest wyższe ponad wszystko na świecie, wyższością jedyną i nieosiągalną – głosiły podręczniki szkolne.

Zasada „Hakko ichiu”, oznaczająca, że wszystkie narody świata powinny być pod berłem mikada, była propagowana w świątyniach i uniwersytetach, w szkołach, na ulicach, przez radio, w urzędach, na każdym zgromadzeniu.

Mózg Japończyka, a zwłaszcza żołnierza, był nabitý wszelkiego rodzaju mitologicznymi historiami o boskim pochodzeniu cesarza i jego rodziny. Cesarzowi jako potomkowi bogów należało się ślepe posłuszeństwo, a śmierć za niego i za ojczyznę była zaszczytem i słodyczą, przynosiła wieczną szczęśliwość. Do tego dodawano agresywną doktrynę o specjalnej misji Kraju Wschodzącego Słońca w wyzwaniu narodów kolorowych spod panowania białych.

Polityczną konkluzją tego wszystkiego stała się nauka o konieczności wojny jako środka realizowania boskich planów i oczyszczenia ziemi od zła i grzechów.

Dlatego w armii japońskiej żołnierze śpiewali popularną pieśń: „Japonia pokona cały świat”.

Nie jest przypadkiem, że podczas wojny z Chinami na dworcach kolejowych można było widzieć żołnierzy, paradujących we wstęgach, na których widniały napisy w rodzaju: *Ja, Nakamura, idę do boju, aby ujarzmić i podbić*.

Gdy wojna rozpalila się już na całym świecie, w propagandzie japońskiej szeroko akcentowano pojęcie Wielkiej Azji Wschodniej jako obszaru Japońskiego Imperium, które powinno objąć nie tylko ogromne Chiny, ale i Mongolię, Związek Radziecki aż do Uralu, nie licząc mniejszych terenów na południu Azji i wysp na Pacyfiku.

Na tym jednak apetyty imperialistów nie kończyły się.

W każdym razie w planach podbojów Japończycy na pierwszym miejscu stawiali Związek Radziecki, tak ze względu na ogromne i bogate obszary Syberii, jak i na wielką siłę militarną. Nie można było myśleć o podboju Azji bez złamania tej siły.

Wszystko przemawiało za tym, aby nową i tak obiecującą broń bakteriologiczną zgromadzić właśnie w pobliżu granicy ze Związkiem Radzieckim, by w odpowiedniej chwili móc ją wprowadzić do akcji.

## Fabryka śmierci nr 731

W czasie jednej z inspekcyjnych wizyt w jednostce nr 731 szef oddziału szkoleniowo-oświatowego dowództwa Armii Kwantuńskiej, mjr Nishi Toshihide, zwrócił się do szefa produkcyjnego mjr dr Karasawy:

- Doktorze, dotychczas nie miałem czasu ani okazji zapoznać się z pańskim sławnym oddziałem. Czy mógłby pan pokazać mi go dziś?

- Bardzo chętnie. Jeżeli pan tylko pozwoli, za pół godziny przyjdę do pana i wtedy razem będziemy mogli obejrzeć całość. Teraz mam do załatwienia pilną sprawę.

W umówionym terminie obaj oficerowie udali się do południowego skrzydła gmachu, gdzie były rozmieszczone pracownie. Dr Karasawa otworzył pierwsze drzwi i wpuścił gościa do obszernej i widnej sali, przypominającej wyglądem halę fabryczną. Uwagę zwracały dwa rzędy wielkich kotłów, podobnych do tych, jakie używano w wielkich kuchniach.

- Jesteśmy teraz w oddziale czwartym, produkcyjnym – wyjaśniał Karasawa gościowi. – W każdym z tych kotłów przygotowujemy pożywkę albo, jeśli kto woli, smakowitą potrawę dla bakterii w ilości jednej tony. Razem więc w 8 kotłach – 8 ton. Dla tak małych konsumentów jak nasze bakterie to dużo, co? Ale proszę wziąć pod uwagę liczbę tych konsumentów. To już nie miliony, czy nawet miliardy, lecz miliony miliardów.

- Co to za pożywka? – pytał gość, nachylając się nad zawartością kotła, przypominającą gęstą, brązową zupę.

- To specjalna mieszanka. Bakterie są wybredne, nie jedzą byle czego, a jeśli się chce, żeby dobrze się rozwijały, trzeba dogadzać ich gustom. Stosujemy mieszankę złożoną z peptonu agaragaru, a także bulionu mięsnego. Wszystko to przyrządza się według specjalnej recepty, a później gotuje w określonej temperaturze i określonym czasie.

- Wiem, że macie różnego rodzaju bakterie, musicie chyba zatem przygotowywać inne menu dla każdego rodzaju?

- Tak, ale różnice są niewielkie i kłopotu nie sprawiają.

- Jak karmicie bakterie?

- Kiedy pożywka jest już gotowa, rozdzielamy ją do specjalnych kamer hodowlanych, widzi pan, tych – tu wskazał szereg skrzynek z blachy z blachy ocynkowanej. – Następnie kamery ładujemy na taśmę, która zanoszą je do następnego pomieszczenia. Tam chłodzi się do odpowiedniej temperatury i wreszcie na taśmie transportuje do innej hali, gdzie odbywa się najważniejsza czynność – posiew bakterii. Ale chodźmy to sami zobaczyć.

Kiedy wyszli na korytarz, mjr Karasawa polecił swemu gościowi włożyć kaptur i maskę.

- Zaraz wejdziemy do pomieszczenia z bakteriami – powiedział. – Taka ostrożność na pewno nie zawadzi. W następnej sali widok był inny. Przy stołach, pochylone nad skrzyniami, siedziały białe ubrane postacie o szczelnie zakapturzonych głowach. Każda z nich miała na oczach okulary ochronne, ściśle przylegające do twarzy, usta i nos zakrywała maska z okrągłym pochłaniaczem. Białe kaptury, wielkie okulary i okrągły ryjek pochłaniacza maski nadawały postaciom niesamowity wygląd.

Każdy z pracowników miał w zasięgu ręki kilka płaskich butelek, zawierających kolonie bakterii. Sprawnie otwierał je po kolei, zanurzał długi pręt, zakończony rodzajem łyżeczki, zeszkrobywał nieco warstwę, obfitującą w bakterie, po czym przenosił to do skrzynek i rozmieszczał równomiernie na pożywce, pokrywającej całe dno.

- Oto właśnie najważniejsza czynność produkcyjna, posiew bakterii – objaśniał mjr Karasawa.

- Jesteśmy w bakteriologicznej farmie – dodał – a ci ludzie to specjaliści hodowlani. Gdy posiew zostanie załatwiony, skrzynki wkładamy znowu na taśmę, a ta zanoszą je do dalszego pomieszczenia, do inkubatora. Tam, w odpowiednio utrzymywanej temperaturze i wilgotności, bakterie znajdują najlepsze dla siebie warunki rozwoju, szybko się rozmnażają i w końcu okrywają powierzchnię pożywki gęstą warstwą.

- W tej sali – mówił dalej, otwierając następne drzwi – zbieramy owoce swojej pracy. Ci ludzie odpowiednimi łyżeczkami zdejmują warstwę bakterii z pożywki i przenoszą do butelek. Proszę zwrócić uwagę, że zawartość każdej takiej łyżeczki wystarcza do wywołania dużej epidemii.

Na tym kończył się właściwy cykl produkcyjny bakterii. Dalej następowało pieczętowanie butelek, pakowanie w woreczki celofanowe i umieszczanie w skrzyniach transportowych o pojemności po 16 butelek każda. Skrzynie jechały transporterami do chłodni, aby tam czekać na wysyłkę, stosownie do rozkazów sztabu armii.

Mjr Karasawa podszedł do stołu i wziął do ręki jedną z butelek, zakorkowaną długim korkiem, z szyjką okrytą grubą warstwą parafiny.

- To są właśnie śmiertelne pociski, którymi zaskoczmy naszych wrogów – zwrócił się do mjr Nishi. – Idę o zakład, że ten szklany, kruchy zbiornik, który z łatwością można ukryć w kieszeni, zadziwiłby każdego z artylerzystów czy pilotów bombowych, gdyby dowiedzieli się, jakiego zniszczenia mógłby dokonać. I to bynajmniej nie zniszczenia w sensie ordynarnego burzenia gmachów czy mostów. Nie, my działamy delikatnie. Widzi pan, wystarczy tę jedną butelkę wrzucić do zwykłej studni wiejskiej, tak aby stłukła się, a w kilkanaście dni epidemia cholery zniszczy całą okoliczną ludność. Bez huków, bez pożarów, bez walenia się domów. Cicho i skutecznie. Tylko ludność. Wszelkie urządzenia techniczne, mosty, budynki, fabryki, tamy – pozostają nietknięte, aby następnie służyć Japonii. Dobrze pomyślane, prawda?

Gość z rezerwą patrzył na butelki kryjące straszną śmierć. Ostrożnie wziął jedną z nich, podniósł na wysokość oczu i przyglądał się pod światło brązowej substancji, pokrywającej szkło od wewnątrz.

- Ile trzeba czasu na wyprodukowanie bakterii? – zapytał.

- Dla bakterii dżumy i wąglika 48 godzin, dla bakterii cholery, tyfusu i innych – 24 godziny.

- Jaką ilość bakterii dżumy można otrzymać z jednej kamery hodowlanej?

- 30 gramów

- A cholery?

- 50 gramów.

- Czy w tych butelkach jest wynik właśnie takiego jednego cyklu hodowlanego?

- Tak jest.

- Jakie bakterie hodujecie oprócz już wymienionych?

- Wiele rodzajów. Oprócz dżumy i cholery także bakterie tyfusu brzuszego, paratyfusu „A”, wąglika, który często nazywa się zarazą syberyjską, dyzenterii, czyli czerwonki, a czasem i inne, na przykład zgorzeli gazowej. Hodować zresztą możemy, w miarę potrzeby wszelkiego rodzaju bakterie. My tu zresztą zajmujemy się tylko hodowlą na wielką skalę, a badaniem, które bakterie nadają się do celów wojennych, trzyma się inny oddział. Pokażę to panu.

- Ile możecie wyprodukować bakterii, powiedzmy w ciągu miesiąca?

- Możliwości są duże i zależą od potrzeby. Dotychczas produkujemy, jakby to można powiedzieć na małych obrotach. Gdy jednak zajdzie potrzeba, potrafimy przy wykorzystaniu najlepszych warunków, oddać do

dyspozycji do 300 kg bakterii dżumy, 600 kg węgla, 800 kg tyfusu, 800 kg paratyfusu, 700 kg dyzenterii i 100 kg cholery.

- Mówi pan tak, jakby określał mąkę czy mięso, według ciężaru.

- To dlatego, że zabrakłoby nam zer, gdybyśmy chcieli określać liczbami jednostek. Proszę sobie wyobrazić, że w ciągu jednego tylko hodowlanego cyklu można tu osiągnąć trzydzieści milionów miliardów bakterii, a więc trójkę z szesnastoma zerami.

- Czy przechowujecie te bakterie w sensie na przykład zapasu wojennego?

- Tak, zawsze mamy do dyspozycji taką ilość bakterii każdej z chorób która wystarczyłaby do zakażenia wroga. Trzymamy je w lodówkach.

- Mówił pan o bakteriach dżumy. Tu ich nie widać.

- Dżuma to nie nasza specjalność, bakterie jej bowiem wymagają zupełnie innych warunków hodowlanych. Rozmnażaniem ich zajmuje się oddział drugi, właśnie teraz tam idziemy.

Oficerowie przeszli jeszcze przez długi korytarz, po czym skierowali się na wyższe piętro. Już na korytarzu zaczęła gością niepokoić nowa woń, przypominająca mieszaninę piżma, moczu i potu.

Mjr Karasawa widząc, jak gość kręci nosem, uśmiechnął się.

- To szczury i myszy – wyjaśniał. – Zapach nieprzyjemny, ale nic na to nie poradzimy.

W jednej z sal gość zobaczył rzędy małych metalowych skrzynek, ustawione na regałach, które zajmowały całą wysokość od podłogi do sufitu. Każda skrzynka miała szerokość 50 centymetrów, wysokość 30 i stanowiła pomieszczenie dla jednego szczura. Miał on tam dosyć pokarmu w postaci łuski ryżowej, ale nie mógł biegać, przywiązany był bowiem paskami.

- Proszę spojrzeć tu blisko przez szybę – powiedział mjr Karasawa. – W sierści szczura aż roi się od pcheł. Mają tu one najlepsze warunki rozwoju i rozmnażania. Szczur nie może im wyrządzić żadnej krzywdy, pożywienia mają pod dostatkiem, temperaturę znakomitą, trzydzieści stopni.

- Znakomitą dla pcheł, dla mnie nie – skrzywił się gość, ocierając pot z czoła. – Dużo tu jest tych skrzynek? – zwrócił się do gospodarza.

- Cztery tysiące pięćset sztuk.

- Ile możecie wyhodować pcheł w ciągu jednego cyklu?

- To trudno obliczyć w sztukach, posługujemy się zwykle wagą. Z jednego cyklu wychodzi dziesięć, do piętnastu gramów pcheł.

- Jak długo trwa taki cykl produkcyjny?

- Dwa albo trzy miesiące.

- A więc z jednego cyklu możecie uzyskać co najmniej czterdzieści pięć kilogramów pcheł?

- Tak.

- Ile to może być sztuk?

- Dużo, około stu czterdziestu pięciu milionów.

- W jaki sposób zakażacie je dżumą?

- Roztwór zawierający bakterie dżumy wstrzykuje się szczurom. Gdy te zachorują, pchły zarażają się od nich. Wtedy je zbieramy do małych metalowych skrzynek, dodajemy trochę specjalnej pożywki i wysyłamy do chłodni bądź – gdyby zaszła potrzeba – do akcji bojowej.

- A gdzie hodujecie same bakterie dżumy?

- Nie tu, w innym ośrodku, nam tu byłoby niezbyt wygodnie, bo jesteśmy nastawieni na inny kierunek. Dżumę dostajemy z Chin. Nasza jednostka „EJ” 1644 produkuje tam co najmniej dziesięć kilogramów tych bakterii w ciągu jednego cyklu.

Następnie oficerowie przeszli do innego skrzydła gmachu, gdzie mieściły się urządzenia innego rodzaju. Tu nie było już zarazków.

- Oddział eksperymentalny prowadzi również badania nad nowymi pociskami bakteriologicznymi.

Rzecz jasna, same bakterie to jeszcze nie wszystko. Trzeba umieć we właściwy sposób się nimi posłużyć, aby dostawszy się na teren wroga wywołały epidemie.

- Najlepsze są chyba bomby lotnicze?

- Niezupełnie. Dawniej sądziliśmy, że wystarczy ładunek bakterii umieścić w pocisku artyleryjskim albo w bombie i w ten sposób przesłać do nieprzyjaciela. Okazało się jednak, że eksplozja pocisku czy bomby niszczyła bakterie zarówno ciśnieniem powietrza, jak i wysoką temperaturą. Po długich badaniach ustaliliśmy trzy sposoby rozsiewania bakterii, zależnie od celu i rodzaju zarazków. Pierwszy z nich to rozsiewanie z samolotów przy pomocy specjalnych aparatów, które umieszcza się na końcach skrzydeł. Drugi to zrzucanie z samolotów specjalnych bomb glinianych albo zbiorników blaszanych. Bomby mogą rozbijać się przy uderzeniu o ziemię albo wybuchać na określonej wysokości nad ziemią. Czasem stosuje się w tym celu bomby na spadochronach. Wreszcie trzecim sposobem jest dywersja lądowa, w ramach której specjalne oddziały epidemiczne zakażają wodę, rozpylają bakterie w powietrzu w domach mieszkalnych, w stajniach czy oborach, podrzucają zatrutą żywność albo ukrywają zarazki w atrakcyjnych przedmiotach.

Gość przyglądał się ciekawie nowemu pomieszczeniu.

- Postaram się, majorze, aby pan jeszcze dziś mógł zobaczyć, jak działa bomba bakteriologiczna – kontynuował dr Karasawa. – Myślę, że zdążymy obejrzeć najważniejsze nasze oddziały, później coś niecoś przekazać, a potem pojechać na poligon. Tu chciałbym panu jeszcze pokazać warsztaty, w których nasi mechanicy potrafi wyczyniać istne cuda.

Mjr Karasawa podszedł do jednego ze stołów i wziął do ręki wieczne pióro.

- Widzi pan, wygląda jak pióro, a jest właściwie pistoletem. Wystarczy tu nacisnąć, a z otworu wytryśnie strumień bakterii. Albo ta laseczka. Można nią niefrasobliwie wywijać, można się podpierać, nie zwracając niczyjej uwagi. W odpowiedniej jednak chwili można odkręcić kapsel, nacisnąć tę sprężynkę, a z lufy wytryśnie strumień bakterii. W tejsze lufie można trzymać również pchły zarażone dżumą. Tu znowu są różnego rodzaju strzykawki do wprowadzania zarazków lub trucizn do żywności. Za pomocą tych strzykawek można zarażać i zatrucić każdy bochenek chleba, każdą bułkę, kawałek mięsa, jajko i każdy owoc.

- Kiedy uzyskuje się najlepsze efekty?

- Okazało się, że najbardziej przydatne do szerzenia epidemii cholery, dyzenterii, tyfusu i paratyfusu są jarzyny, szczególnie te, które mają dużo liści, poza tym dobrymi rozsadnikami epidemii są owoce. Aby jednak uzyskać dobry efekt, lepiej wstrzykiwać bakterie do środka, niż rozpylać na powierzchnię. W dalszej kolejności idą ryby, mięso i wreszcie pieczywo.

- A tu, widzi pan – ciągnął dalej dr Karasawa – cała seria butelek różnego kształtu i wielkości. Napelnione są one zjadliwymi zarazkami. Niektóre butelki wykonane zostały specjalnie z cienkiego szkła, aby mogły się rozprysnąć, przechowywane są w blaszanych futerałach. Inne, z grubszego szkła, można nosić po prostu w kieszeni, a przy okazji, zwykle pod osłoną ciemności, wrzucać do studni albo zawartość wylewać do jakiegoś zbiornika.

- Czy zawsze jest pewność, że zarażenie wody lub żywności spowoduje epidemię?

- Niestety, nie. W dotychczasowych badaniach stwierdziliśmy, że wywołanie epidemii to wcale nie taka łatwa rzecz, jak się niektórym ludziom wydaje. W przyrodzie rządzą specjalne prawa szerzenia się epidemii, prawa, których dobrze jeszcze nie znamy. Nie wiemy, dlaczego epidemia raz wybucha nagle i szerzy się gwałtownie, a innym razem – w identycznych, zdawałoby się, warunkach – nie wybucha wcale. Nie wiemy też, dlaczego nagle znika. Zdajemy sobie tylko ogólnie sprawę, że wpływ na te zjawiska mają warunki klimatyczne, stopień odporności organizmu ludzkiego czy intensywność ataku zarazków. Ogólnie więc biorąc trzeba powiedzieć, że sztuczne wywołanie epidemii to skomplikowana i trudna sprawa. Niewątpliwie człowiek, który wypił zakażoną wodę, zjadł zakażoną żywność czy też został ukąszony przez zadżumioną pchłę, z reguły zachoruje. Ale czy skutek tego zjawi się epidemia – nigdy nie wiadomo. W obliczaniach naszych uwzględniamy jednak fakt, że zachorowanie nawet małej liczby ludzi w jakimś rejonie musi spowodować poważne zaburzenia i zamieszania, które z kolei dezorganizują zaplecze przeciwnika i stwarzają psychozę epidemii. W każdym razie zasadą użycia broni bakteriologicznej jest atak masowy: nie zakażenie jednego jabłka czy jednej studni, lecz zakażenie w krótkim czasie wielkiej ilości żywności i licznych zbiorników, czy rozsianie wielkiej liczby zadżumionych pcheł. Z tego też względu staramy się tu produkować zarazki na wielką skalę przemysłową lub – jak kto woli – hodowlaną.

Mjr Nishi nie mówił nic. Był zbyt zaskoczony wszystkim, co tu zobaczył i usłyszał. Był oszołomiony rozmachem w wytwarzaniu strasznej broni. Dr Karasawa wziął go pod rękę.

- Teraz proponuję przejść do innego oddziału. Zobaczyliśmy już dwa, produkcyjny i doświadczalny, pozostał nam jeszcze oddział badawczy.

Mjr Karasawa otworzył po kolei parę drzwi i wskazał na białe postacie. W małych pomieszczeniach mikrobiolodzy badali tu różnego rodzaju zarazki, nie ograniczając się bynajmniej do bakterii. Szukali możliwości zastosowania wszelkiego rodzaju mikrobów do zabijania ludzi, niszczenia zwierząt i roślin. Badali bakterie chorób ludzkich i zwierzęcych, badali riketsje – mikroby mniejsze od bakterii, a większe od wirusów, badali wirusy, a także różnego rodzaju pleśnie i grzybki. Zakres ich prac był szeroki, obejmujący wszystkie ostre choroby zakaźne człowieka, a więc dżumą, cholere, ospę, trąd, żółtą febrę, tyfus plamisty, tyfus brzuszny, paratyfusy, zapalenie mózgu i rdzenia, tężec i inne, następnie choroby zakaźne zwierząt, jak wąglik, nosacizna, tularemia, brucelloza, dury kleszczowe, pryszczycyca i inne; dużą uwagę zwracano na możliwość przenoszenia chorób zwierzęcych na ludzi, głównie zaś na wąglik (nazywany inaczej zarazą lub wrzodem syberyjskim) i brucellozę. Ślęczeli godzinami nad okularami mikroskopów, obserwując zachowanie się zarazków w różnych warunkach, przeprowadzali analizy jądów bakteryjnych, badali wpływ ich na żywy organizm.

W innych pomieszczeniach zajmowano się truciznami, szukając najlepszych metod otrzymywania ich z hodowli bakteryjnych. Najbardziej obiecujący, zdaniem japońskich uczonych-trucicieli, był jak kielbasiany, produkt bakterii rodzaju *Botulinus*.

- Zna pan, majorze, cyjankali? – spytał mjr Karasawa.

- Coś niecoś orientuję się, choć nie z własnego doświadczenia – uśmiechnął się Nishi.

- Otóż cyjanek potasu, choć uważany za najsilniejszą truciznę, w istocie jest drobnostką wobec jadu kielbasianego. Śmiertelna dawka jadu dla człowieka wynosi zaledwie dwie stutysięczne części grama, w więc jeden gram tego jadu wystarcza do zabicia 50 000 ludzi. Jest to trucizna aż 10 000 razy silniejsza od cyjanku



potasu. Dotychczasowe badania nasze, jak również badania prowadzone w innych krajach, dają podstawę do twierdzenia, że truciznę tę można zaliczyć do najsilniejszych środków wojny bakteriologicznej. Gdyby udało się rozsypać w jakiejś rzece, jeziorze czy innym zbiorniku wody małą ilość tego jadu, to wystarczyłoby, aby człowiek wypił tylko jeden łyk, a byłaby to dawka śmiertelna; śmierć nastąpiłaby po chorobie trwającej kilka dni. Jak dotychczas, próby ze stosowaniem tego jadu napotykały wiele przeszkód, w każdym jednak razie nasi uczeni intensywnie pracują nad rozwiązaniem problemu.

- No, to już chyba wszystko, jeżeli chodzi o pobieżny przegląd naszego kombinatu – zakończył dr Karasawa.

- Prawdziwego kombinatu śmierci – uzupełnił mjr Nishi.

- Można i tak powiedzieć, z tym tylko dodatkiem, że śmierci naszych wrogów, którzy stoją na przeszkodzie panowaniu Japonii nad światem. Majorze, zapraszam pana do kasyna na mały posiłek, musimy pokrzepić się przed wyjazdem na poligon.

- Dziękuję bardzo, chętnie skorzystam, bo naprawdę jestem głodny. Ale, ale, mam nadzieję, że dostanę kawałek przyzwoitego mięsa, nie zaś pożywkę z peptonu, agaru i bulionu – dodał z uśmiechem.

Obaj oficerowie udali się do kasyna, zjedli obfity obiad zakrapiany japońskim specjałem – wódką ryżową, po czym w doskonałych humorach wsiedli do samochodu. W dwie i pół godziny później wjeżdżali do położonej na wschód od Charbina miejscowości Anda, w pobliżu której znajdował się poligon doświadczalny.

Przy wjeździe na poligon, otoczony wysokim ogrodzeniem z trzech rzędów druty kolczastej, wartownicy i dyżurny oficer, mimo że dobrze znali doktora Karasawę, długo i starannie przeglądali przepustki, im wreszcie puścili przybyszów przez bramę.

- Musimy najpierw przebrać się w ochronne ubrania – powiedział Karasawa, gdy znaleźli się już wewnątrz ogrodzenia. – Zobaczymy ciekawy eksperyment z zarażeniem ludzi dżumą przy użyciu bomb. Ciekawy, ale i niebezpieczny, dlatego proszę o najściślejsze stosowanie się do przepisów. Będę zresztą nad panem czuwał.

- Doktorze, wspominał pan przedtem, że bomby nie nadają się do rozsiewania bakterii, gdyż bakterie giną wskutek wybuchu i gorąca...

- A tak, ale udało się nam skonstruować inną bombę, z gliny, bombę, która nie niszczy zarazków. Mówię „udało nam się”, ale właściwie powinienem powiedzieć „udało się naszemu szefowi, generałowi Ishii”, gdyż on jest projektodawcą. W naszym potocznym języku używamy też często określenia „bomba Ishii”. Może chce pan zobaczyć, jak taka bomba wygląda?

Dr Karasawa podprowadził gościa do ściany, na której wisiała duża plansza pokryta rysunkami i fotografiami.

- Wyglądem przypomina nieco normalną, małą bombę – mówił. – Długość jej wynosi osiemdziesiąt, a średnica dwadzieścia centymetrów. Wykonana jest z palonej gliny. Materiał wybuchowy, w przeciwieństwie do wszystkich innych bomb, znajduje się nie wewnątrz, lecz zewnątrz. Widzi pan te bruzdy na powierzchni? Tu właśnie rozłożony jest ten materiał. Zapalnik, jak zazwyczaj, umieszczony jest w części główkowej bomby. Zapalnik ciśnieniowy, który można nastawić na żądaną wysokość. Bakterie względnie zadumione pchły znajdują się wewnątrz bomby. Na określonej wysokości bomba rozrywa się, a zawartość spada rozproszona na ziemię. Siła detonacji jest tak wymierzona, że rozrywa tylko gliniany czerep, nie powodując zniszczenia bakterii czy pcheł.

- Mówił pan przedtem o rozsiewaniu pcheł z samolotu. Co jest wygodniejsze i skuteczniejsze: rozsiewanie czy bombardowanie?

- W Chinach stosowaliśmy rozsiewanie, ale miało to swoje złe strony. Samolot musiał lecieć bardzo nisko, na wysokości stu metrów, był więc dogodnym celem dla nieprzyjacielskiego ognia. Gdy próbowaliśmy rozsiewania z większej wysokości, okazało się, że pchły spadają na ziemię często martwe albo też daleko od celu. Nie stosowaliśmy wtedy bomb, gdyż w chwili eksplozji cały ładunek bakteriologiczny ulegał zniszczeniu. Dopiero niedawno nasz szef wpadł na nowy pomysł. Bomba gliniana ma między innymi tę wielką zaletę, że można ją zrzucić z dużej wysokości, a więc samolot jest mniej narażony na zestrzelenie, pilot zaś może lepiej wykonać bombardowanie. Poza tym bomby rozrywają się nad samą ziemią, rozsiewając zarazki tuż nad celem. Dziś właśnie zobaczy pan, majorze, jedno z pierwszych doświadczeń z tą naszą obiecującą nowością.

Gdy po przebraniu się w antybakteryjne kombinezony oficerowie znaleźli się na rozległym lotnisku, mjr Nishi ujrzał grupę więźniów przywiązanych do żelaznych słupów. Było ich 15, w tym 3 kobiety. Wszyscy stali twarzami zwrócenymi na pole. Byli niezwykle wymizerowani, spoglądali przed siebie otepiałym wzrokiem. Zapewne zdawali sobie sprawę z tego, że będą poddani nowemu doświadczeniu i prawdopodobnie osiągnie ich śmierć.

Mjr Nishi nie miał czasu przyjrzeć się im z bliska, gdyż trzeba było udać się do schronu.

- Za chwilę nastąpi nalot i wybuchy bomb – wyjaśnił służbiście dyżurny oficer.

Daleko słychać już było szum silników; nadlatywały dwa samoloty, utrzymując się na wysokości około 500 metrów. Gdy znalazły się w pobliżu centralnego punktu lotniska, wyrzuciły kolejno kilka bomb długiego, wrzecionowego kształtu. Mjr Nishi przez okno schronu śledził całą drogę spadających bomb i zobaczył, że

pierwsza z nich rozerwała się nad ziemią, pozostawiając po sobie ciemny obłoczek. To samo było z następną i dalszymi; rozerwały się wszystkie na jednej mniej więcej wysokości, niedaleko od przywiązanych do słupów ludzi.

- Wszystkie miały zapalniki ciśnieniowe nastawione na wysokość stu metrów – wyjaśnił dr Karasawa. – Musimy tu jeszcze poczekać z pół godziny, aż drużyna dezynfekcyjna zrobi swoje. Z zadżumionymi pchłami nie ma żartów. W tej chwili są one mocno wygłodzone, na padają na więźniów i dobierają się im do krwi. Biada tym, którzy teraz weszliby na zakażony teren.

Gdy ziemię już wydezynfekowano, opryskiwacze zbliżyli się do więźniów i z odległości kilku metrów bezceremonialnie opryskiwali ich od stóp do głów strumieniem zielonkawego płynu. Teraz zjawili się żołnierze w ochronnych ubraniach, odwiązali więźniów, a opryskiwacze powtórzyli jeszcze raz swoją czynność. Więźniów zapędzono do budy dużej ciężarówki, zaryglowano za nimi drzwi, po czym samochód odjechał.

## Tortury Czu Czimenga

Czu Czimeng był zdolny i pracowitym robotnikiem. Jako monter w fabryce maszyn rolniczych w Mukdenie zarabiał nieźle i co tydzień oddawał swojej żonie tyle pieniędzy, że wystarczało na skromne życie całej rodziny, składającej się z sześciu osób.

Kiedyś kierownik fabryki, przechodząc przez halę montażową, zatrzymał się przy maszynie, którą montował Czu Czimeng, i powiedział do Czu, że w przyszłym miesiącu wyśle go na wieś jako brygadzystę grupy mechanizacyjnej.

Oznaczało to dodatkowe zarobki, a więc i przyspieszało realizację projektów, o których Czu od dawna marzył. Tym marzeniem był własny domek na przedmieściu, z ogródkiem, w którym żona i córki mogłyby uprawiać potrzebne w domu warzywa i kwiaty, a może nawet i zasadzić drzewka owocowe. A może nawet urządzić małą sadzawkę... W chwilach spokoju Czu myślał, jak to byłoby wspaniale leżeć w takim ogródku na pachnącej trawie, w cieniu szerokolistnej jabłoni, patrzeć na igrające w wodzie złote rybki i słuchać delikatnego dźwięku licznych dzwoneczków, zawieszonych na drzewach. Ech, to byłoby życie...

Dlatego Czu prowadził skromny tryb życia, unikał kosztownych rozrywek, oszczędzał przy każdej sposobności i ciułał na wymarzony domek.

Jak tak dalej pójdzie – myślał – to w przyszłym roku będzie już można kupić kawałek ziemi, a w rok potem zacząć budować.

Niestety, los zrzędził inaczej i zgotował mu przykre niespodzianki. Było ich coraz więcej, układały się w jakiś złowrogi łańcuch i przysparzały coraz więcej kłopotów.

Zaczęły się bowiem czasy niespokojne. W Mukdenie panowali Japończycy, ich wojska wdzierały się w głąb Chin, siejąc pożogę i strach. Jako okupanci byli bezwzględni, nakładali na podbite miasta i wsie ogromne ciężary, zmuszali ludność do coraz bardziej wyczerpanej pracy.

W Chińczykach zaczęło się budzić uczucie nienawiści do wroga, na wsi organizowały się grupy partyzanckie tzw. chunchuzów, w mieście powstawały tajne organizacje. Wśród mieszkańców Mukdeny krążyły tajne gazetki, przynoszące wiadomości o rosnącym oporze chińskim.

Wtedy Japończycy przystąpili energicznie do akcji dławienia tego oporu. Zaczęli organizować tajną policję, otoczyli chińską ludność gęstą siecią szpiegów i donosicieli, rozbudowali istniejącą już sieć posterunków żandarmerii. Na Chińczyków zaczęły spadać coraz częstsze ciosy. Aresztowania stawały się już zjawiskiem codziennym. Wystarczyło najmniejsze nawet podejrzenie, nieraz nieopatrzone słowo, a Chińczyk dostawał się do więzienia jako tzw. element wrogi. Żandarmeria nachodziła mieszkania zwykle w nocy i wyciągała podejrzanych z łóżek; przeprowadzała akcje również na ulicach i w fabrykach. Im bardziej Japończykom dawały się we znaki odwetowe akcje chunchuzów, tym ostrzejsze represje spadały na spokojną ludność wsi i miast.

Atmosfera szybko nasiąkała strachem i zawziętością – nieodłącznie towarzyszącymi każdej okrutnej okupacji.

W tych warunkach Czu Czimeng nie mógł pozostać bezczynnym. Gdy któregoś dnia podszedł do niego stary przyjaciel, mechanik, i zaczął rozmowę o nowych represjach japońskich, a potem przeszedł na temat organizacji ruchu oporu, Czu powiedział:

- Warto by pomyśleć o jakiejś pomocy dla chunchuzów.

Przyjaciel mrugnął znacząco:

- Oj warto by, warto by... A może mógłbyś pomóc w produkcji karabinów? Chunchuzi chcą dużo broni, ale nie mogą jej dostać. Ty jesteś dobry mechanik, mógłbyś się bardzo przydać w pewnej tajnej fabryce. Namysł się, bracie. Jutro przyjdę do ciebie.

Czu Czimeng długo myślał, a właściwie bił się z myślami. Z jednej strony nurtowała go nienawiść do Japończyków i chęć walki z nimi, z drugiej zaś – obawa przed konsekwencjami jakie mogło pociągnąć za sobą jego wstąpienie do ruchu oporu, zwłaszcza zaś obawa przed aresztowaniem. Obawa ta wzrastała, gdy pomyślał o swojej rodzinie, o tym, że w razie aresztowania pozostałaby ona w nędzy, może nawet byłaby również

uwięziona? Opanowywał go strach. Wiele już razy słyszał o aresztowaniach wśród swoich znajomych, o torturowaniu, wymuszaniu zeznań i wywożeniu do obozów karnych. Wprawdzie nie było mowy o rozstrzelaniu, ale ktoś, kto zesłany został do obozu, nie wracał już. Japończycy mieli swoje oczy i uszy wszędzie.

Wieczorem nie podzielił się swymi myślami z żoną, a gdy zagadnęła go o przyczynę złego humoru, dał wymijającą odpowiedź. W nocy nie mógł spać, natrętne myśli nie dawały mu spokoju, nie pozwoliły się odpędzić. Tak – myślał – jeżeli jutro powiem przyjacielowi „nie”, to nie wejdę na drogę ryzyka, będę miał spokój, a mojej rodzinie nic nie zagrazi. Czy jednak ten spokój będzie prawdziwym spokojem? Czy postąpię właściwie? Przecież moim obowiązkiem jest pracować dla kraju, walczyć z wrogiem tak, jak walczą inni, walczyć i dążyć do zwycięstwa, bo tylko w ten sposób będę mógł obronić swoją rodzinę. Muszę więc pracować dla organizacji, to jest jedyna droga.

Tak przeszła noc, a gdy rano zmęczony Czu poszedł do fabryki, pierwszą napotkaną osobą był przyjaciel, który już czekał przy warsztacie pod pozorem sprawdzenia jakiegoś szczegółu montażowego. Porozumienie nastąpiło szybko i Czu otrzymał polecenie stawienia się po południu w warsztacie mechanicznym na skrzyżowaniu dróg za stacją kolejową.

Dwaj ludzie, którzy tam czekali, byli ostrożni. Nie mówili nic o żadnej organizacji, o żadnej produkcji broni, nie wspominali nawet Japończyków. Wyciągnęli wódkę, pili ją wspólnie i omawiali tylko codzienne kłopoty na wsi. Dopiero po paru godzinach zaczęli wypytywać Czu o jego umiejętności, pracę w fabryce, o rodzinę, o marzenia życiowe, o poglądy. Gdy już dostatecznie utwierdzili się w przekonaniu, że kandydat rokuje dobre nadzieje, przystąpili do rzeczy.

Czu wrócił do domu podniecony. Wizja własnego domku z sadzawką i drzewami, na których dzwoniły dzwoneczki – zbladła i odsunęła się gdzieś na daleki plan. Pod wpływem dzisiejszej rozmowy pojął, że w obecnych warunkach walki z okupantem myśl o spokojnym domku może być tylko śmieszna i że najważniejszym zadaniem każdego mężczyzny jest teraz walka.

Tak więc Czu zaczął intensywnie pracować dla organizacji podziemnej, wykorzystując maszyny swojej fabryki do wyrabiania zamków do karabinów według dostarczonych mu rysunków. Początkowo krył się starannie przed swoim brygadzystą, ale gdy dowiedział się, że i ten należy do organizacji, pracował swobodnie.

Był dobrym robotnikiem, ale niestety, za mało doświadczonego w konspiracji, podobnie zresztą jak tysiące Chińczyków. I to go zgubiło.

Którejś nocy przed jego domem zatrzymał się wóz ciężarowy, a w chwilę potem usłyszał głośne kołatanie do drzwi.

- Żandarmeria, uciekaj – nerwowo szeptała żona, tarmosząc go za ramię i wyrwijąc ze snu. Ale było już za późno. Uzbrojeni żandarmi z nasadzonymi na karabiny bagnetami wdarli się do mieszkania, rozkazali Czu zabrać ubranie i nie pozwalając mu nawet ubrać się, popędzili do samochodu, gdzie znajdowało się już kilka innych osób. Tej nocy w Mukdenie nastąpiły masowe aresztowania.

Samochód zawiózł aresztowanych do więzienia i tak dla Czu zaczęła się męczeńska droga, której końca nie mógł przewidzieć.

Po dwóch dniach wezwano go na przesłuchanie. Ochłonął już z pierwszego wrażenia, przygotował się do badań, pogodził się z myślą, że musi cierpieć, i powziął mocne postanowienie nie przyznawania się do niczego. Przemyślał dokładnie sposoby obrony, starał się przewidzieć wszystko, czym żandarmi mogliby go zaskoczyć.

Dwóch ubranych po cywilnemu Japończyków, w towarzystwie oficera żandarmerii, miało twarde orzechy do zgryzienia. Czu przez dłuższy czas odpierał wszelkie zarzuty, usiłując przekonać Japończyka, że jest tylko spokojnym robotnikiem, który o niczym nie wie. Wreszcie jednak Japończycy zaczęli się denerwować i krzyczeć, aż w pewnej chwili przywołali dwóch oprawców i rozkazali „nakłonić” opornego do zeznania prawdy.

Zaczęło się od pozornie niewinnego wyłamywania palców przy pomocy ołówka. Zdawałoby się, że to nic groźnego, a jednak powodowało przejmujący, trudny do wytrzymania ból. Po kilku takich próbach, gdy Czu uparcie utrzymywał się przy swojej wersji, oprawcy zastosowali drugi stopień – kazali mu położyć się na podłodze i wyciągnąć nogi, po czym bambusową laską uderzali w kostki. Ból był tak piekielny, że Czu, mimo największego wysiłku, nie mógł powstrzymać się od jęków i krzyków a każdym uderzeniem. Kiedy i to nie przyniosło Japończykom spodziewanego rezultatu, podprowadzili więźnia do ściany, ustawili twarzą do muru, kazali nogi lekko ugiąć w kolanach i wtedy zsunęli mu na głowę ruchomą, przesuwaną po ścianie ciężką półkę drewnianą, po czym zamocowali ją w tej pozycji.

- Będiesz tak stał, ty chiński psie, aż ci kulasy w tyłek wejdą! A żeby ci się odechciało upaść, podeprzemy twoje świńskie ciało bagnetami.

Później, gdy Czu, leżąc na podłodze swojej celi, przypominał sobie tę torturę, ciało jego mimo woli wzdrygało się. Już po kilku minutach stania na lekko zgiętych nogach ból w kolanach był szarpący i palący. Ni pamiętał, jak długo to trwało, wiedział tylko, że ból doszedł do takiego stopnia, iż zaczęło mu się robić słabo, mięśnie wiotczały, brakło tchu, w oczach latały jakieś plamy, w uszach szumiało. Na plecach, pod pachami i pod pośladkami czuł wzmagający się ucisk ostrzy bagnetów i widział, że jeśli upadnie, nadzieje się na ostrą stal.

Mimo najwyższych wysiłków, nie wytrzymał i zemdlął.

Teraz, leżąc na podłodze w celi, czuł szarpiący ból w tych wszystkich miejscach, gdzie podpierały go bagnety. Zdawał sobie sprawę z tego, że bagnety zostawiły głębokie rany; nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą, nie mógł położyć się na plecach.

Potem były jeszcze dwa przesłuchania, ale Czu trwał uparcie przy swojej linii obrony. Japończycy zaczęli tracić nerwy i wreszcie, nie mogąc wydobyć nowych zeznań, zrezygnowali. Nie znaczyło to jednak, że dla Czu zaświtała nadzieja. Wręcz przeciwnie. Choć zarówno Czu, jak i jego towarzyszym, mogłoby się zdawać, że rezygnacja z dalszych przesłuchań będzie oznaczała jakiś łagodniejszy wyrok – może więzienie, a może obóz pracy – to jednak w istocie sprawa wyglądała inaczej i znacznie gorzej.

### **„Tokui atsukai”**

Czu nie wiedział, że los jego został już przesądzony, gdy w więziennym pokoju przesłuchań jedno z cywilów powiedział:

- To twarda sztuka, nie wierzę w nic, co tu mówi. Nie mamy już czasu na zajmowanie się tym psem. Proszę wystawić wniosek wysłania go do Charbina. „Tokui atsukai”. Zaraz podpiszę.

Sierżant żandarmerii, który protokołował zeznania, wiedział co to znaczy. „Tokui atsukai” w żargonie żandarmerii było niczym innym, jak wyrokiem śmierci, choć słowa same znaczyły „transport specjalny”. Ludzie kierowani do specjalnego transportu byli przeznaczani do jakichś eksperymentów, które przeprowadzano w okolicy Charbina. Powszechnie panowało przekonanie, że eksperymenty te z reguły kończyły się śmiercią; nie słyszano jeszcze o wypadkach, żeby ktoś stamtąd wyszedł cało. O warunkach, w jakich odbywały się „specjalne transporty”, mówi zamieszczony niżej we fragmencie rozkaz:

*Ścisłe tajne*

SZTAB ŻANDARMERII  
ARMII KWANTUŃSKIEJ  
8 sierpnia 1943 Nr 120  
Oddział do spraw szczególnej wagi

#### **Rozkaz operacyjny o konwojowaniu specjalnych transportów Tokui atsukai**

1. W drugiej partii Tokui atsukai, skompletowanej na podstawie rozkazu operacyjnego żandarmerii nr 222, jedzie 90 ludzi. Partia przybędzie na stację Szanhaikuan 9 sierpnia. Przewóz ze stacji odbędzie się w jednym wagonie osobowym. Odjazd 10 sierpnia godz. 11.15. Wagon zostanie doczepiony do pociągu osobowego Szangaikuan – Mukaden.

Przyjazd na stację Sunu 13 sierpnia godz. 00.13.

2. Konwojowanie transportu od Szangaikuan do Sunu poleca się komendantowi czinczouskiego oddziału żandarmerii. Z ogólnej liczby przewożonych 60 ludzi jedzie do końca, a pozostali zostaną przekazani szefowi jednostki „Ishii” na stacji Charbin. Należy więc uprzednio oddzielić grupę ludzi przeznaczonych do przekazania szefowi jednostki „Ishii”, tak aby w czasie przekazywania nie było żadnych komplikacji.

3. Komendant charbińskiego oddziału żandarmerii ma nawiązać ścisłą łączność z szefem jednostki „Ishii” i przedsięwziąć na stacji Charbin oraz w dalszej drodze wszelkie środki ochrony przed zagranicznym wywiadem oraz konieczne środki nadzoru.

4. Przed wyjazdem do Szanhaikuan pobrać ze sztabu żandarmerii kwantuńskiej potrzebny przy konwojowaniu sprzęt: kajdan nożnych 81 szt., kajdan ręcznych 52 szt., sznurów do wiązania aresztantów 40 szt., oraz z mukdeńskiego oddziału żandarmerii: kajdan ręcznych 30 szt. i sznurów do wiązania w czasie konwoju 40 szt....

Jak wygląda taki transport, miał się wkrótce naocznie przekonać także Czu. Po kilku dniach pobytu w areszcie mukdeńskim, mimo że był obolały od nie gojących się ran zadanych bagnetami, usiłował wymaszerować wraz z grupą więźniów na stację kolejową w Sun. Tam wepchnięto go do ciemnego wagonu więziennego i założono kajdany na ręce i nogi.

Trzy dni trwała podróż, wypełniona głodem, pragnieniem i męką, nim wreszcie wago dotarł do Charbina. Tam więźniów wylądowano i wpędzono do więziennego samochodu, a następnie zawieziono do pobliskiej jednostki nr 731.

Gdy półprzytomny z osłabienia Czu znalazł się wreszcie w celi więziennej, w półmroku zobaczył leżące na podłodze wynędzniałe postacie. Nie było tu ani łóżek, ani prycz.

Położył się na twardym, zimnym betonie i zapadł w stan ciężkiego półsnu.

Nazajutrz rano zaczął zapoznawać się z towarzyszami niedoli.

Był wśród nich cieśla U Tiengsin z Mutankiangu, który miał nieszczęście przenocować w swoim domu dwóch chunchuzów, był nauczyciel Uan Ing z Mukdenu, który w czasie lekcji powiedział dzieciom, że największym nieszczęściem dla Chin jest sąsiedztwo Japonii, był właściciel sklepu bławatnego Tsiun Mingtse z Dairenu, oskarżony o to, że pocztą wysłał list potępiający okupację japońską; był urzędnik Czy Doen z małego miasteczka Chuan, podejrzany o poglądy komunistyczne.

- Żle trafiłeś, bracie – powiedział Czy Doen. – Tu niczego dobrego nie możesz się spodziewać.

Czu by przekonany, że trafi do zwykłego więzienia, w którym będzie przebywał aż do rozprawy sądowej.

- Czy wy wszyscy macie już wyroki? – spytał.

- Wyroki? Tu się siedzi bez wyroków. Tu się czeka na koniec.

- Jaki koniec?

- Tylko jeden, jedyny – uśmiechnął się gorzko Czy Doen. – Uan, Toi, Watsu – zwrócili się do towarzyszy – pokażcie swoje ręce.

Czu z przerażeniem patrzył na wyciągnięte w jego stronę dłonie, z których sterczały tylko poczerniałe kości, odarte z ciała. U nasady palców trzymały się jeszcze resztki tkanki, ale widać było, że są już martwe i niedługo także odpadną. Z zapartym tchem Czu wpił się wzrokiem w twarze tych ludzi, szukając wyjaśnienia. Obdzierali ciało z rąk? Torturowali?

- Eksperymenty, bracie, eksperymenty naukowe. Nie jesteśmy ludźmi, jesteśmy zwierzętami doświadczalnym, każdego nas to czeka, ciebie też... - skarżył się dziwnym, syczącym głosem stary Chińczyk, chowając swoje straszliwe, okaleczone ręce.

- To skutki odmrożeń – wyjaśnił Czy Doen. – Japończycy badają wytrzymałość na mróz. Kazali im wsadzić ręce do wody, a potem trzymać je na lodowatym wietrze w temperaturze minus 20 stopni. Po pół godzinie przyszedł Yoshimura ze swoją pałeczką bambusową, kazał wyciągnąć ręce, chodził od jednego do drugiego i pałeczką lekko uderzał po palcach. Jak palce wydawały odgłos drewniany, znaczyło, że są już zupełnie odmrożone i wtedy odsyłał więźnia do innej celi., aby wypróbować różne środki przeciw odmrożeniom. Oni chcą dowiedzieć się, jak organizm człowieka reaguje na mróz i jak można leczyć odmrożenia. Rozumiesz na co im to potrzebne? Do prac może naukowych? Nie, bracie, oni przygotowują się do wojny z Rosją. Oni marzą o podbiciu całej Azji.

- Co tu jest właściwie? Więzienie? Ośrodek naukowy?

- Toś ty nic nie słyszał? To japońska fabryka śmierci. To jednostka 731 koło Charbina, gdzie Japończycy przygotowują wojnę bakteriologiczną. Chcą sztucznie wywołać epidemie. Tu hodują masowo bakterie, żeby w odpowiedniej chwili rzucić na Chiny, na Rosję, na Amerykę i kto wie jeszcze na kogo.

- A więzienie?

- Potrzebne im jest do trzymania ludzi jako materiału do eksperymentów, jako zera dla bakterii. Spędzają ludzi – mężczyzn i kobiety – z Chin, z Mandżurii, z granicy Rosyjskiej, a kto tu się dostał, żywy nie wyjdzie. Jedyna tylko nadzieja w wojnie z Rosją. Jak Japończycy zaczną dostawać w skórę, może nas zwolnią.

- Co oni tu robią?

- Zarażają bakteriami, śledzą, jak organizm walczy z chorobą, wypróbują różne leki, surowice i szczepionki, badają, jak najskuteczniej zarażać.

- A jednak leczą. Co się dzieje potem z takim wyleczonym więźniem? Zwalnają?

- Ach, nie. Jak wyleczą z jednej choroby, zaraz zarażają drugą, trzecią i tak dalej. Ale zwykle wystarcza jedna. Rzadko kiedy człowiek przetrzymuje więcej. Rozumiesz, ludzie są wyczerpani i wynędzniali, organizm nie ma odporności i łatwo się załamuje. Człowieku, co myślisz? Nie mogą nikogo zwolnić, bo zaraz sprawa rozniosłaby się szeroko, a Japończycy boją się tego jak ognia. Wszystko to jest trzymane w największej tajemnicy.

- Dawno tu jesteś, Czy Doen?

- Dopiero dziesięć dni, ale dowiedziałem się dużo od towarzyszy. Nie ma ich już. Wszyscy zginęli. W tej celi siedzą tylko nowicjusze i czekają na swoją kolejkę doświadczeń. – Bacność! – krzyknął nagle Czy Doen słysząc głośnie kroki za drzwiami celi. Wszyscy więźniowie poderwali się na równe nogi i wyprężyli. Zagrzytał klucz w zamku, w progu ukazało się dwóch Japończyków ubranych w białe fartuchy, a za nimi dwóch uzbrojonych strażników z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi.

Dwaj biało ubrani zaczęli coś do siebie mówić, potem jeden z nich podchodził do każdego z więźniów, oglądał go, kazał otwierać usta i wysuwać język, rozwierał szeroko powieki i sprawdzał ukrwienie spojówek. Gdy przegląd wypadł dobrze, kazał swemu koledze zapisać numer więźnia.

- A ten? – wysoki Japończyk wskazał na Czu. – Jeszcze bez numeru?

- Tak jest – odpowiedział Czy Doen. – To nowy, przyszedł wczoraj wieczorem.

- Dać mu numer i zapisać – rozkazał Japończyk swemu koledze.

- Ilu już zapisanych, sześciu? Mało, za mało, trzeba napisać do żandarmerii w Charbinie, ja muszę mieć materiał. Nie mogę eksperymentować z kilkunastoma ludźmi. Muszę mieć setki. Oni zresztą giną zbyt łatwo. No, chodźmy już.

Gdy drzwi zamknęły się za Japończykami, Czy Doen oparł się plecami o ścianę i spojrzał uważnie na Czu. Spojrzenie to przeciągało się boleśnie długo, a milczenie w celi nagle wydało się ponure i groźne. Czu zaczynał rozumieć, że przygotowuje się coś strasznego. Z twarzy swoich współtowarzyszy starał się zorientować, co im grozi, ale zobaczył tylko wygasłe spojrzenia i całkowitą rezygnację. Zwrócił się do starszego celi:

- Zapisał sześciu. Co to za selekcja?

- Na kolejny eksperyment. Ty też pójdziesz. Będą was zakażać jakąś chorobą – odpowiedział Czy Doen odwracając głowę i patrząc w wysoko umieszczone zakratowane okienko.

Znowu zapanowała cisza, przerywana tylko sapaniem wąsatego Chińczyka, siedzącego w kącie.

- Czy chorowałeś na jakieś choroby zakaźne? – zwrócił się starszy celi do nowicjusza. – Czy byłeś szczepiony?

- Nie, nie chorowałem, ale w zeszłym roku byłem szczepiony na tyfus brzuszny.

- Będą cię o to pytali. Nie przyznawaj się, że byłeś szczepiony.

- Dobrze, dziękuję ci, Czy Doen. Ciebie też zapisali, pójdziemy więc razem.

- Nie wiadomo, tu nigdy nic nie jest pewne. Zobaczmy jutro.

Czy Doen mylił się. Rozstrzygnięcie przyszło jeszcze tego samego dnia. Najpierw Czu wezwano do kancelarii, a tam pisarz więzienny powiedział mu, że odtąd przestanie nosić swoje nazwisko, a otrzyma numer 1735. Przygotowany już numer na żółtym prostokacie płótna przyszył zaraz na piersiach Czu jeden z więźniów.

- Z powrotem do celi – zakomenderował strażnik.

Czu nie zdążył jeszcze ochłonąć z przynębiającego wrażenia, gdy drzwi celi otwarły się znowu, a strażnik wywołał numery wszystkich sześciu. Ustawili się przed drzwiami celi i wtedy Czu zobaczył, że przed innymi drzwiami w korytarzu również stoją grupy więźniów. Strażnicy sformowali cały oddział, liczący około pięćdziesięciu osób, i poprowadzili go na dziedziniec więzienny. Tam oczekiwali już biało ubrani Japończycy, skupieni koło stołu, na którym leżały strzykawki i stały szeregi małych słoików. Dwaj z nich zaczęli szybko dzielić cały oddział na mniejsze grupy, a gdy skończyli, kazali kolejno podchodzić do stolika z podwiniętymi rękawami. Każda grupa dostawała inne zastrzyki, tylko końcowa zastrzyków nie otrzymała wcale.

- Nie bójcie się – powiedział jeden z Japończyków. – To są szczepienia przeciw cholercie. Niewarciu jesteście, żeby się wami zajmować, ale władze japońskie postanowiły was uchronić przed niebezpieczeństwem epidemii. Kiedy wrócicie do domu, będziecie żyć spokojnie, cholera nie będzie już wam groziła. Czy kto z was był już poprzednio szczepiony? Niech wystąpi.

Nie wystąpił nikt. Strażnicy sformowali oddział na nowo i odprowadzili do więzienia.

- Co oni chcą z nami zrobić? – spytał w celi Czu.

- Czy myślisz, że tak dbają o nasze zdrowie? Chodzi im o wypróbowanie nowych szczepionek przeciw cholercie, jeżeli to naprawdę są szczepionki. Diabli ich wiedzą, co nowego wymyślili. Jeżeli tak jest, jak mówią, to znaczy, że za kilkanaście dni zakażą nas bakteriami cholery i będą sprawdzać, kto zachoruje.

Czu miał szczęście. Następnego dnia jeden ze strażników wybrał go do pracy porządkowej, a to oznaczało już poważny awans w życiu więziennym, swobodę poruszania się po korytarzu i od czasu do czasu lepsze kąski pożywienia. Kiedy strażnik dowiedział się, że Czu potrafi naprawiać instalacje elektryczne, zameldował o tym swoim zwierzchnikom, a to spowodowało, iż Czu wezwano do kancelarii i kazano zająć się uszkodzonym kablem w piwnicy. Ramię po zastrzyku bolało i spuchło, w brzuchu odzywały się rwące bóle, dokuczwała biegunka, ale Czu przystąpił do pracy. Gdy udało mu się uszkodzenie usunąć, znalazła się następna robota, później dalsze i w ten sposób Czu miał zapewnioną swobodę ruchów już po całym więzieniu. Nadzieję jego jednak na odzyskanie wolności bladły z każdym dniem, w miarę jak poznawał więzienie i patrzył na męczarnie ludzi.

Czasem przez ciekawość zaglądał przez judasza do wnętrza celi, widział tam ludzi leżących na betonie, skutych kajdanami, dogorywających w męczarniach. Ze skąpych rozmów, a właściwie krótkich zdań, zasłyszanych od innych więźniów, orientował się, że każdy więzień jest poddawany jakimś doświadczeniom.

Widział grupy pokrawionych więźniów przywożone z tak zwanych manewrów, to znaczy z doświadczeń wykonywanych na poligonie, gdzie wybuchały bomby, raniły odłamkami i obrzucały nieszczęśliwych bakteriami. Widział ludzi zamkniętych w szczelnych izolatkach, którzy umierali na dżumę,

ludzi majających w silnej gorączce z powodu cholery, ludzi straszliwie wycieńczonych i podobnych do żywych szkieletów, ludzi z okropnymi ranami na rękach i nogach, leżących na twardym betonie.

Wrył mu się szczególnie w pamięć widok kobiety, młodej Rosjanki, tulącej do piersi niemowlę. Dowiedział się, że została przywieziona kilka dni temu i że w więzieniu urodziła dziecko. Za kilka dni dziecka przy niej już nie było, zmarło. Ten sam los podzielili a zresztą i matka, gdyż włączono ją do grupy doświadczalnej i zarażono dżumą.

Całe lewe skrzydło więzienia było przeznaczone dla zakaźnie chorych. Przebywali tam w małych celach więźniowie w różnych stadiach choroby, chorzy na dżumę, cholere, tyfus brzuszny, paratyfus, na typowe choroby odzwierzęce, jak wąglik, nosaczna, brucelloza, tularemia i inne. Śmiertelność była ogromna. Codziennie rano specjalna grupa więźniów wyciągała z cel zwłoki, ładowała do skrzyń i wywoziła do krematorium, znajdującego się w pobliżu więzienia. Charakterystyczny, gęsty i żółtawy dym, wydobywający się z wysokiego kominu codziennie rano, świadczył o paleniu nowych zwłok.

Fabryka śmierci pracowała pełną parą i potrzebowała coraz więcej ofiar. Kiedyś, przechodząc przez kancelarię, Czu usłyszał rozmowę telefoniczną, prowadzoną przez naczelnika więzienia.

- ... musimy mieć więcej więźniów. Nasze eksperymenty pochłaniają setki ludzi, codzienni palimy po parę czy kilka zwłok, a na ich miejsce brak nam nowych ludzi. Doktor Futaki mówi, że będzie musiał przerwać doświadczenia, a to odbije się dużym echem u naszych i waszych władz. Czekamy na nowe transporty! – krzyczał do słuchawki naczelnik.

Czu widział kobiety umierające na dżumę. Kiedyś ledwo udało mu się odskoczyć od judasza, gdy do drzwi podeszli dwaj Japończycy. Jeden z nich, tutejszy lekarz, objaśniał przybyłemu, jak doszło do zachorowania.

- Była przywiązana do pala na poligonie, a wtedy z samolotu zrzucono „bombę Ishii”, wiecie, tę z zadumionymi pchłami. Taka bomba to świetny pomysł. Rozrywa się na małej wysokości nad ziemią i nie robi pchłom żadnej krzywdy. Tu jest najlepszy tego dowód – śmiał się.

- No tak, ta już jest w ostatnim stadium – dodał po chwili. – Teraz zaczyna nerwowo chodzić po celi, coś tam wykrzykuje, krok staje się chwiejny, twarz jej czerwienieje. Wygląda jak pijana. Za kilka, najpóźniej kilkanaście minut upadnie i już nie podniesie się. Jutro wyjdzie z więzienia na wolność, he, he, he... - zarechotał. – Przez komin, he, he, he... A muszę wam powiedzieć, kolego, że to wyjątkowo wytrzymała baba. Najpierw była zarażona tyfusem brzuszny. Przechorowała i wyzdrowiała. Potem wypila koktajl z bakteriami cholery. Nie zachorowała wcale. Dopiero dżuma ją zwała. To ciekawy przypadek. Opiszę go w swojej książce.

Innym razem Czu zobaczył przywiezionego więźnia, który nie mógł ani stać, ani siedzieć, ani wykonywać ruchów rękami. Prosto z noszy rzucono go na beton celi jak worek mąki. Okazało się później, że był to żołnierz radziecki, Jurij Demczenko, dostarczony z obozu koncentracyjnego Hogoin, gdzie poddawano go torturom, aby wydobyć zeznanie dotyczące rozmieszczenia wojsk radzieckich nad granicą. Demczenko odmawiał, wobec czego kaci zaczęli stosować coraz boleśniejsze tortury. Najgorsze było zakończenie, gdy zawieszono go za ręce i nogi, twarzą w dół, po czym pozostawiono tak przez kilkanaście godzin. W rezultacie dzielny ten człowiek doznał pawie całkowitego zniszczenia stawów rąk i nóg.

Na drugi dzień przyszli lekarze japońscy i jeden z nich zastrzyknął choremu zawieszoną wirusów żółtej febry. Demczenko żył jeszcze kilka dni, ale cierpiał coraz więcej, miał wysoką gorączkę, wymiotował krwią, aż wreszcie skończył życie.

## **Plan „Kan-Toku-En”**

We wrześniu 1941 r. W gabinecie dowódcy Armii Kwantuńskiej, generała majora Umezu, odbyła się odprawa z udziałem wyższych oficerów Armii, ograniczona jednak tylko do czołowych sztabowców, obejmująca głównie lekarzy, bakteriologów i weterynarzy.

- Sytuacja polityczna na świecie uległa ostatnio poważnej zmianie – mówił generał. – Nasz sojusznik, Niemcy, znajduje się już w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim i jak wynika z najświeższych komunikatów, jest na najlepszej drodze do pokonania swego przeciwnika. Związek Radziecki jest również naszym przeciwnikiem, choć zawarliśmy z nim pakt o nieagresji. Jak długo ten pakt będzie honorowany – tu generał uśmiechnął się – nie wiemy. Musimy jednak być przygotowani na niespodzianki. Zdajecie, panowie, sobie chyba sprawę, że nasza Armia Kwantuńska, licząca pół miliona doborowych żołnierzy, nie przyjechała tu na urlop. Cesarz życzy sobie, abyśmy byli w przygotowaniu na wypadek rozpoczęcia działań wojennych przeciwko naszemu odwiecznemu wrogowi.

- Zaprosiłem tu panów – kontynuował generał major – aby omówić jeden, szczególnie ważny odcinek naszych przygotowań. Mam na myśli zastosowanie nowej broni, o której zapewne panowie już słyszeli, a którą z rozkazu cesarza mamy w szybkim tempie rozbudować. Tą bronią są zarazki. Mamy już dwie duże jednostki na naszym terenie, w których badania i produkcja zarazków idą pełną parą. Są to: jednostka nr 731 koło Charbina i jednostka nr 100 koło Czangczunu. Podzieliliśmy ich kompetencje tak, że nr 731 zajmuje się zasadniczo

przygotowaniem wojny bakteriologicznej przeciwko ludziom, zaś nr 100 – zasadniczo przeciwko zwierzętom i roślinom. Powiadam „zasadniczo”, gdyż ścisłego rozgraniczenia przeprowadzić nie można, bowiem są choroby atakujące zarówno ludzi, jak i zwierzęta. W jednostkach tych i ich ekspozyturach przeprowadzono już wiele eksperymentów, a wyniki ich utwierdziły nas w przekonaniu, że broń bakteriologiczna może stać się w naszym ręku niezwykle cennym czynnikiem, który pomoże do zniszczenia wroga.

Panowie, nasz sztab generalny opracował już plan działań wojennych przeciwko Związkowi Radzieckiemu, plan, który będziemy nazywać „Kan-Toku-En”. Poświęcono w nim dużo uwagi zastosowaniu broni bakteriologicznej, chciałbym więc zapoznać panów teraz ze szczegółami.

Badania i produkcja zarazków rozwijają się już pomyślnie i na wielką, można by rzec – przemysłową skalę. Trzeba jednak myśleć o zwiększeniu wysiłków w tym zakresie, należy również, korzystając z tego, że tu, w kraju okupowanym i w pobliżu granicy radzieckiej, możemy mieć do woli materiału doświadczalnego, aby rozszerzyć eksperymenty na ludziach i zwierzętach. Równoległe należy wzmocnić działalność wywiadowczą, zebrać możliwie najdokładniejsze informacje z terenów pogranicznych i dalszych, aby na wypadek wojny umożliwić najbardziej skuteczne działania.

Generał Umezu mówił jeszcze długo, przedstawiał szczegóły planu „Kan-Toku-En”, wyznaczał kompetencje działania, obiecywał znaczne fundusze, a wreszcie, na zakończenie, polecił rozdać obecnym najważniejsze informacje w druku.

### **„Niszczenie zwierząt domowych – to niszczenie żywności nieprzyjaciela”**

Tak rozpoczął się nowy etap działalności jednostki nr 100. W laboratoriach przystąpiono do pracy ze zdwojoną energią, zwiększono liczbę inkubatorów, rozbudowano „kuchnię dla bakterii”, sprowadzono całe stada zwierząt domowych, przeznaczonych do eksperymentowania.

Zniszczyć zwierzęta hodowlane – to podciąć podstawy żywienia nieprzyjaciela, zwierzęta te bowiem stanowią źródło najważniejszego, najbardziej wartościowego pożywienia dla człowieka – białka i tłuszczów. Dostarczają one poza tym tak cennych surowców dla przemysłu wojennego, jak skóra i wełna.

Prace bakteriologów nie ograniczały się do jednej choroby, jednocześnie hodowana bakterie przynajmniej pięciu chorób zwierzęcych, i to takich, które atakowały nie tylko zwierzęta, ale i ludzi. Do najważniejszych z nich należał wąglik, zwany inaczej wrzodem syberyjskim.

Bakterie wągliku w postaci stosunkowo dużych laseczek powodują chorobę ostro przebiegającą, głównie u owiec, koni i krów. Znane są dwie postaci tej choroby: skórna, w której występuje duża czarna krosta albo obrzęk, oraz wewnętrzna – kiedy bakterie usadawiają się w płucach lub jelitach. Zakażone zwierzęta zdychają w ciągu dwóch dni, a w wypadkach ostrych w ciągu jednego dnia lub nawet w ciągu kilku godzin.

Epidemia szerzy się szybko i może powodować ogromne zniszczenia. Gdy za bakterie trafią na nie sprzyjające warunki, wytwarzają formę zarodnikową. Wówczas zarodniki te mogą być przenoszone z wiatrem, wodą, przez mrówki, muchy, ptaki. Są one wyjątkowo odporne na zimno, ciepło, suszę, promienie słoneczne i mogą przetrwać całymi miesiącami, gdy zaś dostaną się wraz z paszą do organizmu zwierzęcia, przekształcają się w bakterie, a te zaczynają swoją niszczyielską działalność.

Wąglik stanowi duże niebezpieczeństwo również dla człowieka i często powoduje długotrwałą wyniszczającą chorobę kończącą się śmiercią.

Inną chorobą zwierząt, której uczeni japońscy poświęcili wiele uwagi przygotowując wojnę bakteriologiczną była nosacizna.

Bakterie nosacizny, w postaci prątków, atakujące najczęściej zwierzęta jednokopytne, a więc konie, muły osły, zebry, mogą jednak wywołać epidemie również wśród psów i kotów. Najostrzej choroba przebiega u osłów i kotów, wyniszczając organizm w szybkim tempie silną gorączką i ogólnym zatruciem jadami bakteryjnymi. U koni i krów przebiega wolniej, prowadzi jednak również do wyniszczenia organizmu i do śmierci.

Pies jest także wrażliwy na zakażenie nosacizną i łatwo może przenieść chorobę na człowieka. Często bywa, że nosacizną nazywa się niewłaściwie inną chorobę psów, mianowicie nosówkę, która jest spowodowana innymi zarazkami, wirusami.

Człowiek może zarazić się od chorych zwierząt przez dotyk, a również drogą oddechową i przez przewód pokarmowy. Źródłem zakażenia może być mięso i przetwory. Człowiek może chorować chronicznie i cierpieć latami lub też gwałtownie i wówczas choroba ma przebieg bardzo ciężki, o śmiertelności dochodzącej do 50%.

W jednostce nr 100 pracowano też intensywnie nad produkcją bakterii tzw. brucellozy. Jest to choroba zakaźna owiec, kóz i świń, spowodowana bakteriami noszącymi nazwę pałeczek Brucelli. Zakażenie następuje za pośrednictwem wydzielin i wydaliny chorego zwierzęcia. Choroba szerzy się szybko, przebiega dłużej niż inne, poprzednio wymienione, i prowadzi do znacznego wyniszczenia, a w końcu śmierci. Jest również groźna



dla człowieka, powodując bolesne dolegliwości w różnych narządach, niszcząc organizm i prowadząc do kalectwa. Czasem choroba przebiega ostro i wtedy prowadzi do śmierci.

Pryszczycę uznano również za chorobę, której epidemia może dokonać poważnego spustoszenia w pogłowie bydła hodowlanego. Jest to choroba zakaźna o przebiegu zwykle ostrym, spowodowana przez wirusy i atakująca krowy, świnie, owce i kozy. Objawia się wysoką gorączką i charakterystycznymi wykwitami na pysku, racicach, a czasem i na wymieniu. Wyniszcza organizm zwierzęcia w ciągu paru tygodni, a w połowie przypadków kończy się śmiercią.

Człowiek jest znacznie mniej podatny na pryszczycę, ale może również poważnie zachorować. Kiedy choroba przyjmie postać ostrą, może dojść do ciężkich powikłań w organizmie.

Wirus pryszczycy jest odporny na niesprzyjające warunki i może przetrwać w wodzie czy w trawie przez wiele dni.

Ostatnią wreszcie z poważniejszych chorób, które w planowanej wojnie bakteriologicznej miały odegrać ważną rolę, był pomór bydła (inaczej księgosusz). Jest to ciężka choroba krów wywołana przez wirusy, rozmnażające się we krwi i narządach wewnętrznych zwierzęcia. Wirusy mogą tak rozmnożyć się we krwi, że zagęszczenie ich dojdzie do stanu, w którym nawet jeśli krew rozcieńczyć w stosunku 1:25 000, to roztwór będzie jeszcze zawierał dość wirusów do spowodowania choroby.

Zakażone zwierzęta chorują długo, a śmiertelność dochodzi do 75%. Wirusy tej choroby nie atakują człowieka.

Bakteriolodzy i weterynarze jednostki nr 100 nie poprzestawali na tych kilku chorobach. Badali również możliwości zastosowania innych zakaźnych chorób zwierzęcych, usiłowali wyhodować szczególnie złośliwe, nie spotykane dotąd bakterie, riketsje i wirusy.

Podobnie jak w jednostce nr 731, pracę zorganizowano na wielką skalę, a więc w odpowiednich pomieszczeniach, przy zastosowaniu taśm bieżących, nowoczesnych chłodni, automatycznych ciepłarek itp. Była to zatem również prawdziwa fabryka śmierci, z tą jednak różnicą, że nastawiona głównie na niszczenie zwierząt.

Badano tam także zarazki roślin – bakterie i wirusy powodujące choroby ziemniaków, żyta, pszenicy, ryżu, kapusty, pomidorów, szukano najlepszych sposobów hodowli zarazków, a także zakażenia nimi pól uprawnych.

Nie wystarczyło oczywiście prowadzić badania w samych laboratoriach, trzeba było przeprowadzać doświadczenia.

Latem 1942r. Na tereny graniczące ze Związkiem Radzieckim wyruszyła ekspedycja pod kierunkiem pracownika naukowego, doktora Ida Kiochi, wioząca na samochodach ciężarowych nie tylko sprzęt kwaterunkowy dla ludzi, lecz również kompletne laboratorium do badań w terenie. Szło o to, aby dokładnie zbadać, jak w określonych warunkach klimatycznych można sztucznie wywoływać choroby i epidemie wśród zwierząt domowych. Przystąpiono więc do zbadania drogi, jaką odbywają zarazki różnych chorób zwierzęcych, zanim dostaną się do organizmu zwierzęcia, oraz do sposobów zarażania zwierząt.

- Musimy zbadać, w jakim stopniu uda się użyć wody do przenoszenia nosaczyny i wąglika – mówił dr Ida do swego najbliższego współpracownika, dr Ikodu. – Gdyby bakterie czy ich zarodniki można było po prostu wrzucić do rzeki, tak aby w promieniu 100 kilometrów wywołały chorobę zwierząt, nie mielibyśmy problemu. Ale niestety, sprawa, jak pan wie, jest znacznie trudniejsza. A może umieścić większą ilość bakterii czy zarodników w jakimś zbiorniku, który by po pewnym czasie przebywania w wodzie pękł? Trzeba pomyśleć o jakimś urządzeniu, które po pewnym czasie, na przykład pięciu dni, mogłoby spowodować lekki wybuch i rozbić szkło. Wtedy zarazki w dużej ilości wytworzyłyby ognisko epidemii.

- Oczywiście rzeka jest wygodną drogą do przeniesienia takich ładunków na teren wroga – kontynuował dr Ida. – Naszym celem będzie, i to zapewne w niedługim czasie, zakażenie terenów rosyjskich. Jak tego dokonać, jakie sposoby i środki zastosować – oto właśnie problem, który musimy rozstrzygnąć. W każdym razie wydaje mi się, że powinniśmy skupić uwagę na dwóch chorobach: wąglika i nosaczynie. Jeżeli chodzi o metody przenoszenia zarazków na teren wroga, myślę, iż najlepsze wyniki da dywersja, a poza tym zakażenie z samolotów. Jak pan widzi, pracy przed nami dużo.

Praca ekspedycji przyniosła obfity plon naukowy, chociaż efekty zakażenia okazały się nie najlepsze. Japończycy przekonali się, że spowodowanie epidemii wśród zwierząt to sprawa znacznie trudniejsza niż rozszerzenie zarazy wśród ludzi.

Kilkakrotnie naukowcy grupy dr Ikodu wlewali do rzeki i jeziora po kilka litrów bulionu, w którym roiło się od bakterii wąglika lub nosaczyny, licząc na to, że zarazki powędrują z prądem wody na północ i tam spowodują epidemie na terenie Związku Radzieckiego. W szczególności terenem tej akcji było duże jezioro Chanka, którego minimalna część znajdowała się po stronie mandżurskiej, znacznie zaś większa – po stronie radzieckiej. Zakażono również rzekę Ussur, łączącą jezioro Chanka z rzeką Amurem, która od miejsca przyjęcia wód Ussuru płynie już całkowicie na terytorium Związku Radzieckiego.

Wszystkie te próby jednak zawodziły.

Nie zmniejszyło to wszakże tempa prac w jednostce nr 100. Japończycy – rozumiejąc, że zakażenie terenów nieprzyjacielskich ostrymi chorobami zwierzęcymi na drodze dywersji lądowej może przynieść wrogowi tylko stosunkowo niewielkie szkody – zaczęli rozważać projekty użycia samolotów do masowego rozsiewania zarazków daleko na tyłach wojsk nieprzyjacielskich.

W tym czasie inny oddział jednostki nr 100 prowadził doświadczenia nad zakażaniem ludzi chorobami zwierzęcymi.

## Śmiertelny zastrzyk

Władimir Iwanow był kolejarzem na stacji Worszyłow w pobliżu Władywostoka. Pracował na kolei już 30 lat, miał dorosłe dzieci, a nawet jednego wnuka. Czekala go spokojna starość, którą zamierzał spędzić w małym drewnianym domku na przedmieściu, w otoczeniu rodziny.

Tego lata postanowił wykorzystać urlop inaczej niż dotychczas, nie z żoną, nie w domu, lecz za granicą. Jego starsza córka, Nadia, od dziesięciu lat mieszkała z mężem w Charbinie, na terenie Mandżurii, znajdującej się obecnie pod okupacją japońską, i od dłuższego już czasu nie dawał znaku życia. Iwanow nie widział jej jeszcze, odkąd wyjechała, postanowił więc zaryzykować podróż, aby zobaczyć ją znowu, zwłaszcza że obawiał się, czy nie zdarzyło się coś złego.

Wprawdzie dochodziły do niego wieści, że w Mandżurii panuje terror, że ludzie giną bez wieści, ale Iwanow nie przypuszczał, żeby jemu, obywatelowi radzieckiemu, mogło coś grozić.

Niestety, przeliczył się.

Gdy po kilku godzinach jazdy pociągiem znalazł się w Charbinie i zgodnie z przepisami zameldował swoje przybycie na posterunku kolejowym żandarmerii, komendant posterunku zatrzymał jego paszport.

- Wasz paszport jest fałszywy – oświadczył – i wobec tego jesteście zatrzymani.

Następnie Iwanow słyszał, jak Japończyk telefonuje do innej placówki żandarmerii i mówi o zatrzymaniu podejrzanego Rosjanina, który przybył z Woroszyłowa, prawdopodobnie szpiega.

Tak nastąpiła w życiu Iwanowa gwałtowna zmiana i koniec, którego stary kolejarz nie przewidywał w najbardziej pesymistycznych rozważaniach.

Nie pomogły żadne tłumaczenia, żadne próby odwoływania się do wyższych władz japońskich czy prośby o skontaktowanie z konsulem radzieckim. Japończycy uparci twierdzili, że Iwanow jest groźnym szpiegiem. Po kilku dniach bezowocnych przesłuchań zastosowano wobec niego tortury dla wymuszenia zeznań. Iwanow wyszedł z nich pół żywy z osłabienia, bólu i ciężkich dolegliwości żołądkowych, spowodowanych pompowaniem w niego ogromnej ilości wody.

Urzędnik śledczy zdenerwował się wreszcie i przekazał więźnia z powrotem żandarmerii, wypisując na marginesie listu słowa „Tokui atsukai”, które w konsekwencji oznaczały śmierć.

W nocy przywieziono Iwanowa do jednostki nr 100, gdzie w więziennej celi zastał on trzech innych towarzyszy niedoli: jednego Rosjanina i dwóch Chińczyków. Każdy z nich miał na nogach ciężkie kajdany.

Nie umieli oni nic konkretnego powiedzieć, sami dostali się tutaj parę czy kilka dni przedtem. Byli poza tym mrukliwi, odzywali się niechętnie i dawali przybyszowi do zrozumienia, że nie budzi w nich zaufania. Szalejący w Mandżurii terror dawał już zatem owoce.

Nazajutrz Iwanowa zakuto w kajdany, tak że z trudnością mógł się poruszać po celi. Po południu do celi przyszło dwóch Japończyków, ubranych w białe fartuchy, w celu – jak można było się domyślać – zbadania stanu zdrowia więźniów.

Iwanow i jego współtowarzysze musieli stanąć pod ścianą w szeregu. Jeden z Japończyków kolejno zaglądał każdemu w usta, badał powieki, opukiwał klatkę piersiową i macał brzuch, drugi za notował rzucone półgłosem uwagi. Po oględzinach Japończycy zaczęli łamaną ruszczyzną pytać obu Rosjan, czy i kiedy chorowali oraz jakie przechodzili szczepienia. O to samo później wypytywali również obu Chińczyków. Wreszcie starszy wiekiem Japończyk oświadczył, że więźniowie będą zaszczepieni przeciwko tyfusowi brzuszemu. – Aby uchronić was przed epidemią, która panuje w Charbinie – dodał. Tą samą strzykawką, nie zmieniając igły, zrobił każdemu zastrzyk w prawe ramię.

Natychmiast po jego wyjściu jeden z Chińczyków zaczął coś z ożywieniem tłumaczyć swemu ziomkowi oraz obu Rosjanom, ale robił to w tak łamanym języku, że trudno go było zrozumieć. Dopiero kiedy zaczął pokazywać na migi i sam począł wysysać ustami miejsce ukłucia, Iwanow pojął, że idzie o natychmiastowe i możliwie dokładne wyssanie szczepionki.

- To bardzo niebezpieczne – tłumaczył Chińczyk. – Trzeba wyssać wszystko i wypluć.

Iwanow waha się jeszcze, ale Chińczyk był natarczywy i ciągle przynaglał. Wreszcie gdy drugi Rosjanin, który przedstawiał się jako Kowalenko, zaczął wysysać szczepionkę, Iwanow poszedł w jego ślady.

- Dobra, dobra – uśmiechnął się Chińczyk. – Tam jest choroba. To nie szczepionka, to śmierć.

Następnego dnia Japończycy przyszli znowu i zaczęli oglądać ranki po ułkuciach. Dziwili się, że zaczerwienienie jest małe, obmacali ramię, zagląдали do gardła, obmacali ciało, pod pachami, pytali o samopoczucie.

Chińczyk miał rację. Więźniowie, nie podejrzewając tego, stali się ofiarami okrutnego eksperymentu. Zastrzyk, który otrzymali, nie miał nic wspólnego ze szczepionką, był to zastrzyk zawiesiny bakterii wąglika.

Niestety, nawet natychmiastowe wyssanie ranki, do czego tak gorąco przynaglał bardziej doświadczony Chińczyk, nie uratowało więźniów. Bakterie wąglika dostały się do krwi i zaczęły swoją niszczyielską działalność.

Po trzech dniach w miejscu ułkucia zjawił się mały pęcherzyk, wypełniony surowicą z ciemnym, krwawym punktem w środku. Kiedy miejsce to zaczęło swędzić, każdy z więźniów szukał ulg w drapaniu. Pęcherzyki pękały, ich zawartość wylewał się. Potem wytworzyły się strupy, na drugi zaś dzień całe ramię było obrzmiałe, rana przyjęła postać dużego, czarnego i twardego wrzodu, otoczonego jak gdyby wieńcem perł.

- Toż to wrzód syberyjski! – krzyknął Kowalenko. – Zarazili nas!

Japończycy, którzy codziennie odwiedzali więźniów, byli wyraźnie zadowoleni. Przyszli w towarzystwie fotografa i kazali zrobić kilka zdjęć, sami zaś zapisywali coś w notesach.

Więźniowie z dnia na dzień tracili siły; męczyła ich gorączka, dreszcze, brak apetytu, znużenie i senność. Tak minęło znowu kilka dni i wtedy okazało się, że choroba mija. Nie u wszystkich jednak. Stary Chińczyk, który tak bardzo nalegał na natychmiastowe wyssanie zastrzyku, był osłabiony i nie mógł już wstać, a jego całe prawe ramię gwałtownie puchło i bolało. Wieczorem zemdleł, a w kilkanaście minut potem zmarł.

- Ale ci trzej – mówił Japończyk podczas następnej wizyty – są w dobrym stanie. – Dostaniecie teraz lepsze pożywienie, żeby wrócić do zdrowia – uśmiechnął się do więźniów, którzy dzielnie przetrzymali straszną chorobę. – Będziecie silni i pojedziecie do swych rodzin. – Następnie rozkazał swemu towarzyszowi zająć się usunięciem zwłok.

Kowalenko zaklął gniewnie, gdy drzwi zamknęły się za Japończykiem. – Już ja im nie wierzę – oświadczył. – Ci dranie coś na nas szykują, trzeba być ostrożnym.

Ale w ciągu najbliższych dni nie stało się nic, co mogłoby budzić podejrzenie. Do celi istotnie zaczęto przynosić lepsze jedzenie i nawet podejrzliwy Kowalenko nie odtrącał smacznych zup. Miał tylko zastrzeżenie co do dziwnego ich smaku. Po tych posiłkach więźniowie szybko zasypiali i spali twardo przez kilkanaście godzin. Nie przeczuwali jeszcze, że w pożywieniu podawano im narkotyki: w zupach powój koreański, a w kaszy – heroinę.

Japończycy przychodzili regularnie, badali, uśmiechali się, twierdzili, że ich podopieczni wyglądają coraz lepiej i że wkrótce będą zwolnieni. Robili wrażenie przyjaciół.

Ale więźniowi czuli się coraz gorzej. Po każdym posiłku zapadali w ciężki sen, nie przynoszący żadnego pokrzepienia. Po tygodniu żaden z nich nie myślał już o uwolnieniu i zapadł w stan całkowitej rezygnacji.

Japończycy nie przejmowali się tym bynajmniej, eksperyment bowiem przebiegał pomyślnie. Nikomu nie zależało przecież na zdrowiu tych ludzi, szło jedynie o wykazanie, że organizm ludzki można wyniszczać także przez stopniowe dodawanie do codziennych posiłków silnych narkotyków atakujących zwłaszcza układ nerwowy.

Gdy trzej więźniowie znaleźli się już w stadium ostatecznego wyczerpania i nie próbowali nawet wstawać, Japończycy postanowili zakończyć eksperyment.

Starszy lekarz przyniósł strzykawkę i powiedział, że musi zrobić zastrzyk wzmacniający, aby więźniowie szybciej wrócili do zdrowia. Więźniom było już obojętne, co dalej się stanie, każdy więc z rezygnacją podsuwał ramię. Nie stawiałby zapewne żadnego oporu nawet gdyby wiedział, że w strzykawce zawarta jest śmierć – cyjanek potasu.

Japończyk sprawnie i szybko zastrzyknął truciznę kolejno każdemu więźniowi, po czym uważnie obserwował objawy agonii. Śmierć nastąpiła w ciągu paru minut.

Zwłoki załadowano na wózek i odwieziono do laboratorium, gdzie lekarze natychmiast przystąpili do sekcji; wypreparowali wątrobę, płuca, serce, mózg, po czym wycinki tkanek oglądali pod mikroskopami, zanurzali je w różnych płynach, barwili, ważyli. Wreszcie resztki zwłok kazali zawinąć w szmaty i zawieźć na „bydlęcy cmentarz”, gdzie grzebano zwierzęta padł wskutek eksperymentowania.

Sanitariusz Mitomo, który zgodnie z regulaminem dozorował zagrzebanie zwłok więźniów, był mimowolnym świadkiem jeszcze jednego „pogrzebu” według metody znacznie uproszczonej. Oto nad wykopanym dołem kazano uklęknąć dwóm więźniom, Rosjanom. Obaj byli w zabrudzonej i postrzępionej odzieży, boso, niezwykle wychudzeni, z otwartymi ranami na rękach i nogach.

Tak – pomyślał Mitomo – ci pewnie też nie nadają się do dalszych eksperymentów.

Żołnierz japoński kazał pochylić więźniom głowy, następnie podszedł do pierwszego z nich, jedną ręką brutalnie nacisnął głowę głębiej, a drugą przystawił lufę pistoletu do potylicy i pociągnął za język spustowy. Ciało zważyło się do rowu.

Ten sam los spotkał także drugiego więźnia.

## „Kłody” na lotnisku

Gdy szarozielona limuzyna wojskowa zatrzymała się przed niskim budynkiem, podbiegł do niej dyżurny oficer japoński, otworzył drzwiczki i z uprzejmym uśmiechem zwrócił się do siedzącego w głębi oficera z dystynkcjami majora:

- Oczekujemy pana, majorze Nishi. Wszystko przygotowane. Doświadczenie zaraz się zacznie. Zanim jednak przejdziemy na poligon, poproszę pana za mną do budynku. Musimy włożyć ubrania ochronne.

W kilka minut później major Nishi – wysoki jak na Japończyka, szczupły i elegancki – w towarzystwie dyżurnego oficera opuszczał budynek. Ale teraz trudno go było poznać. Zielony kombinezon z kapturem szczelnie okrywały całe ciało; rękawice i gumowe buty dopełniały reszty. Obaj oficerowie niezgrabnie ruszyli w kierunku widniejącej z dala grupy ludzi.

Tam kilka osób ubranych w podobne kombinezony kończyło już swoje zadanie. Widok był niezwykle, toteż major Nishi przypatrywał mu się z zaciekawieniem, przypominając sobie wszystko to, co usłyszał w ostatnich miesiącach o kombinacie bakteriologicznym, zwanym w sferach specjalistów „kombinatem śmierci”.

Podeszły do niego dwie zakapturzone postacie.

Oficer dyżurny, skłaniając się uprzejmie, dokonał prezentacji:

- Major Nishi, nowy szef oddziału szkoleniowego, major Ikari, szef oddziału drugiego, doktor Futaki, bakteriolog.

- No, zaraz się zacznie – uśmiechnął się dr Futaki, niski i krępy, w okularach, o wyglądzie typowego naukowca. – Pogoda na szczęście dopisuje, nie ma deszczu, nie ma wiatru, temperatura w sam raz. A więc, można powiedzieć, idealnie. Oby tak udawały się wszystkie inne eksperymenty. Niestety, w ostatnich dniach dokuczały nam tu silne wiatry i musieliśmy ciągle przesuwac terminy.

Do grupy oficerów podeszedł zakapturzony żołnierz i zameldował:

- Wszystko gotowe.

Major Nishi zbliżył się do placu, na którym za chwilę miał się odbyć właściwy eksperyment.

Do wbitych w ziemię słupów byli przywiązani ludzie; stali tak półkolem w odległości kilku metrów jeden od drugiego, twarzami zwróceni do słupów. Głowy ich nakryte były metalowymi hełmami, a ciała obłożone grubymi kołdrami, tak jednak, że pozostawały odsłonięte nagie pośladki.

- Nie chcemy im robić krzywdy – uśmiechnął się ironicznie major Ikari, pokazując mocno zdekompletowane uzębienie. W gronie kolegów i znajomych zawsze usiłował dowcipkować i cieszył się, jeśli po jego anegdotach ludzie się śmieli. – Jeżeli dostaną odłamkami, to tylko w tyłki, reszta ciała jest dobrze chroniona. Przez kilka dni nie będą mogli siedzieć, ale w ich sytuacji nie ma to żadnego znaczenia.

- Co to za ludzie? – spytał major Nishi.

- Partyzanci chińscy. Otrzymaliśmy ich przed kilku dniami z żandarmerii w Charbinie. Niezłe ptaszki. Jest wśród nich i kobieta, o tam, ta przy trzecim słupie.

- Przepraszam, musimy teraz iść do schronu – wtrącił doktor Futaki. – Zaraz zaczną się wybuchy.

Cały personel i goście udali się do schronu i stanęli przy okienkach obserwacyjnych, znajdujących się zaledwie metr nad ziemią, a wówczas jedno z funkcjonariuszy nacisnął dźwignię. W ułamek sekundy później patrzący zobaczyli pióropusz dymu i ziemi, wytryskujący w górę, a zaraz po tym usłyszeli głuchy huk wybuchu. Jeden, potem drugi, trzeci... Przywiązanych do słupów jeńców zasłoniła chmura ciemnego pyłu.

- Oto i wszystko – uprzejmie skomentował dr Futaki. – Teraz możemy pójść tam znowu. Aha, majorze Nishi, chciałby pan zapewne wiedzieć, o co chodzi w tym doświadczeniu?

- W schronie znajduj się wyłącznik elektryczny, połączony kablem z dwiema bombami, które leżały w pobliżu – kontynuował dr Futaki, widząc zainteresowanie na twarzy majora. – Bomby były specjalnego rodzaju, porcelanowe, z małym tylko ładunkiem wybuchowym. Głównym ładunkiem były tu bakterie zgorzeli gazowej. Pod wpływem wybuchu bakterie wraz z odłamkami porcelany dostały się prawdopodobnie do ciał kłód. Co będzie dalej, zobaczymy. Celem doświadczenia jest ustalenie, czy bakterie zgorzeli gazowej nadają się do celów bojowych. A jeżeli nadają się, to jakie metody należy stosować, aby uzyskać najlepsze wyniki.

- Przepraszam, pan doktor powiedział „kłody”. Co to takiego?

- Ach, istotnie – uśmiechnął się naukowiec. – Zapomniałem, że pan jest nowy i zapewne nie zna naszego tutejszego języka. Kłody to po prostu nasze obiekty doświadczenia, to znaczy ludzie dostarczani przez żandarmerię.

Okazało się, że eksperyment był udany. Gdy grupa oficerów podeszła do przywiązanych więźniów, ujrzała widok, który dla normalnego człowieka byłby niechybnie wstrząsający i bolesny.

Pośladki wszystkich więźniów były zlane krwią. Niektórzy jęczeli cicho, a w całej ich postawie widoczny był ból. Ciało kobiety było zwiotczałe, głowa bezwładnie opadała na ramię. Obnażona część ciała, prawdopodobnie naszpikowana odłamkami porcelany, obficie ociekała krwią.

- Znakomicie, znakomicie – mruzczał z zadowoleniem naukowiec, pochylając się nad otwartymi ranami i rozdlubując szczypcami skaleczenia.

Żołnierze tymczasem odwiązywali ofiary od słupów. Żadna z nich nie była w stanie utrzymać się na nogach i padała na ziemię natychmiast po uwolnieniu z więzów. Żołnierze byli na to przygotowani, sprawnie kładli je na nosze i zanosili do ciężarowego samochodu, gdzie bezceremonialnie rzucali na podłogę.

- Co teraz z nimi będzie? – zapytał major Nishi.

- Ano, na wolność nie wyjdą. Będą siedzieli nadal w więzieniu, a jeżeli bakterie dostały się do ran, los ich będzie przesądzony. Przypuszczalnie żaden z nich nie wyżyje. Jak pan zapewne wie, zgorzel gazowa albo, jak ją inaczej nazywają, gangrena – to straszny wróg żołnierza na wojnie. Jeżeli bakterie zgorzeli dostaną się do krwi i tkanki, człowiek po kilku dniach umiera w męczarniach. W tym eksperymencie chodziło nam o ustalenie najlepszego sposobu zakażenia.

Przypuszczenia dr Futaki sprawdziły się. Wszystkie ofiary doświadczenia zachorowały i zmarły w męczarniach w ciągu zaledwie jednego tygodnia.

Eksperyment z bakteriami zgorzeli gazowej miał miejsce na poligonie doświadczalnym w Anda, w odległości 150 km na zachód od Charbina, w sierpniu 1944r. Był to okres, w którym wydarzenia wojenne wskazywały na zbliżający się już koniec pożogi obejmującej kulę ziemską.

Skończyły się błyskawiczne zwycięstwa Niemców i Japończyków; Europa ugięła się wprawdzie jeszcze pod butem hitlerowskiej okupacji, ale armie Związku Radzieckiego na całej linii frontu przejęły inicjatywę. Hitlerowcy ponosili klęskę za klęską. W Afryce ulegli przewadze i zręczności wojsk brytyjskich, w południowej Europie zaczęli cofać się pod uderzeniami wojsk alianckich, które wylądowały we Włoszech. Na froncie wschodnim przysła klęska pod Stalingradem. W tym czasie Japończycy ponieśli dotkliwą klęskę w bitwie morskiej koło Wysp Salomona.

Dalej zdarzenia szły już lawinowo. W czerwcu 1944r. Nastąpiła dawno oczekiwana inwazja aliantów na Francję. Niemcy zostali uchwyceni w kleszcze, z których jedno ramię zaciskało się ze wschodu, drugie zaś z zachodu.

Na Dalekim Wschodzie flota wojenna i lotnictwo Stanów Zjednoczonych zadawało Japonii coraz cięższe ciosy. Japończycy musieli wycofywać się ze wszystkich terenów, które na początku wojny tak łatwo dostały się w ich ręce.

Nikt zdrowo myślący nie wierzył już w zwycięstwo podpalaczy świata. Wprawdzie odnosili oni jeszcze niekiedy pojedyncze, niewielkie zresztą sukcesy, ale koniec ich zbliżał się nieuchronnie.

Inaczej jednak myśleli ci, którzy tę wojnę rozpętali. Dla nich nie było odwrotu z krwawej drogi, toteż dobywali sił, aby za wszelką cenę powstrzymać tragiczny bieg wydarzeń, wpłynąć na zmianę sytuacji, rzucić na szalę coś takiego, co mogłoby wstrząsnąć światem.

Hitler odgrażał się, że ma w zapasie nową, potężną broń, która zmiecie z powierzchni ziemi wszystkich wrogów. Japończycy wprowadzili do walki lotników-samobójców, tzw. kamikadze, którzy atakując amerykańskie okręty, niszczyli je kosztem własnego życia. Ale był to już tylko desperacki krok. Trzeba było wymyślić coś innego.

Japończycy postanowili użyć broni bakteriologicznej.

Troskliwie okrywane ścisłą tajemnicą ośrodki naukowe, a właściwie cała ich sieć – pracowały od kilku lat pełną parą, dążąc do stworzenia najlepszych warunków do masowego rzucenia zarazków nie tylko na nieprzyjacielskie wojska, co na rzesze ludności cywilnej.

### **General Yamada jest zaskoczony...**

W dowództwie jednostki nr 731 w Pingfan panowało tego dnia wyjątkowe podniecenie, spodziewano się bowiem wizyty samego naczelnego dowódcy Armii Kwantuńskiej, generała majora Yamada Otozoo. Dowódca jednostki, gen. Dr Ishii, od paru już dni przynaglał wszystkich podwładnych do pracy, aby nadać swojemu „kombinatowi śmierci” – jak się wyrażał – wysoki połysk.

- Nasz naczelnny dowódca – mówił – musi zobaczyć, że jesteśmy gotowi do spełnienia zadań; musi przekonać się, że broń bakteriologiczna może być użyta natychmiast.

Gdy wartownik, siedzący na wysokiej wieży strażniczej, zameldował telefonicznie, że do jednostki zbliża się grupa samochodów osobowych, generał Ishii w towarzystwie wyższych oficerów i pracowników naukowych wyszedł przed budynek dowództwa.

Z wielkiego samochodu wyskoczył najpierw adiutant, podbiegł do drzwi i otworzył je szeroko. Ukazał się w nich stary, niski, o pomarszczonej twarzy człowiek w mundurze generalskim.

Stojący przed budynkiem oficerowie wyprężyli się w powitalnym ukłonie, kompania honorowa sprezentowała broń, orkiestra odegrała marsza.

Z następnych samochodów wysiadali oficerowie, sztabowcy z dowództwa Armii.

Gość uśmiechnął się, odpowiedział ukłonem wojskowym i rażnym krokiem podszedł do gen. Ishii.

- Witam naczelnego dowódcę Armii Kwantuńskiej, jednego z najdzielniejszych samurajów Jego Cesarskiej Mości – powiedział gen. Ishii

- Witam pana, generale Ishii, dzielnego samuraja i wybitnego przedstawiciela nauki, twórcę nowej broni, która w rękach Jego Cesarskiej Mości stanie się narzędziem zniszczenia naszych wrogów.

Liczący sobie już 64 lata naczelnym dowódcą był nie lada osobistością. Jako wybitny oficer i dowódca, cieszył się zaufaniem samego cesarza, a fakt mianowania go szefem Armii Kwantuńskiej był nie tylko wielkim zaszczytem, lecz również dowodził, że Cesarski Sztab Główny wiąże z Armią Kwantuńską jakieś specjalne nadzieje. Dowódca Armii Kwantuńskiej był faktycznym panem życia i śmierci nie tylko całego podległego mu wojska, lecz również całej Mandżurii, łącznie z jej marionetkowym „cesarzem” Pu-Yi; jednocześnie zaś miał przygotować silną, urosłą już do 700 tys. Doborowego żołnierza armię do decydującego uderzenia na Związek Radziecki, do zrealizowania wymarzonego w sztabie japońskim planu „Kan-Toku-En”.

W uderzeniu tym generał Yamada liczył na broń biologiczną, o której dużo już słyszał w sztabie Cesarskiej Kwatery Głównej, ale jako niespecjalista nie orientował się w szczegółach. Wizyta w głównym ośrodku przygotowywania wojny bakteriologicznej miała dać mu podstawy do daleko idących decyzji operacyjnych.

W gabinecie generała Ishii zebrała się śmietanka wyższych oficerów. Oprócz dostojnego gościa i gospodarza obecni byli: gen. dr Kajitsuka Rjiuji, szef służby zdrowia Armii Kwantuńskiej, gen. dr Takahashi Takaatsu, szef służby weterynaryjnej armii, płk Tamura Tadashi, szef oddziału kadr armii, oraz czołowi naukowcy z jednostki nr 731.

Po ceremonialnych przywitaniach i grzecznościach zabrał głos gen. Ishii. Mówił o organizacji badań i produkcji, wskazywał na rozwieszanej na ścianie mapie wszystkie miejsca, gdzie znajdowały się oddziały i ekspozytury jednostki nr 731 i nr 100, przedstawiał liczby zatrudnionych naukowców, oficerów i innych pracowników, omawiał stan techniczny urządzeń.

- W ostatnich latach pracowaliśmy intensywnie – kończył. – Rozbudowaliśmy sieć placówek, przeszkoliliśmy nowe kadry specjalistów, ustaliliśmy najlepsze metody masowej produkcji bakterii. Dziś mogę z satysfakcją stwierdzić, że jesteśmy przygotowani do użycia bakterii na szeroką skalę. Taką właśnie gotowość mam zaszczyt zameldować przedstawicielowi Cesarskiej Kwatery Głównej.

W czasie całego przemówienia gen. Yamada zajęty był notowaniem. Rysował na papierze skomplikowane znaki japońskiego alfabetu, zapisywał uwagi, które nasuwały mu się w trakcie słuchania sprawozdania.

Gdy gen. Ishii skończył, odłożył pióro, chwilę namyślał się, wreszcie zabrał głos:

- Dziękuję generałowi Ishii za rzeczowe przedstawienie sprawy. Jak panom wiadomo, dowództwo Armii Kwantuńskiej objąłem przed miesiącem; od tego czasu przejrzałem wiele raportów dotyczących nowej broni, którą z takim rozmachem panowie tu przygotowujecie. Dzisiejsze sprawozdanie uzupełniło wiele luk w mojej znajomości przedmiotu, niemniej jednak są rzeczy, które niezbyt jasno jeszcze mogę sobie wyobrazić. Proszę mi wybaczyć – jestem tylko żołnierzem, a z bakteriologią dotychczas niewiele miałem wspólnego. W pytaniach moich – być może – będą sprawy dla panów zupełnie proste. A więc sprawa pierwsze: czy ustalone są już metody natarcia przy użyciu broni bakteriologicznej i czy jest pan przekonany, generale Ishii, że rozsiewanie na przykład bakterii dżumy spowoduje masowe epidemie? Proszę, głos ma generał Ishii.

- Tak jest – odparł służbiście doktor Ishii. – Przeprowadziliśmy już wiele prób, szczególną uwagę zwracając zwłaszcza na dżumę. Oprócz licznych doświadczeń na naszych poligonach, zrzuciliśmy dwukrotnie zadżumione pchły na ludność chińską. Film nakręcony w czasie jednej z takich ekspedycji mamy tu pod ręką i jeśli pan generał pozwoli, wyświetlimy go.

Generał Yamada wyraził zgodę i za chwilę na ekranie ukazały się pierwsze obrazy nakręconego w okolicy Ningpo filmu.

- To tylko pierwsze próby, na małą skalę – komentował później gen. Ishii. – W ciągu prawie trzech lat, które upłynęły od tamtego czasu, zrobiliśmy duży krok naprzód. Dziś jesteśmy w stanie przeprowadzić masowy atak i spowodować wybuch epidemii w szerokim paśmie terenu nieprzyjacielskiego, na powierzchni wielu tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Tak, dziękuję. A teraz następne pytanie. Jak mi wiadomo, produkcja bakterii dżumy może być znacznie zwiększona prawie natychmiast, natomiast produkcja pcheł wymaga dłuższego już czasu. Ponieważ tylko pchły mogą być użyte jako nosiciele bakterii, trzeba liczyć się z okresem kilku miesięcy, potrzebnych do wyhodowania dużych ilości pcheł. Jak jest obecnie wasza zdolność produkcyjna?

- Około 50 kilogramów pcheł miesięcznie, czyli jakieś 150 milionów sztuk.

- To jednak, jeśli zdążyłem się dobrze zorientować, przy masowym ataku o ile za mało. Czy pańska jednostka wraz ze wszystkimi oddziałami i ekspozyturami jest w stanie rozszerzyć produkcję, powiedzmy, do 200 kilogramów miesięcznie?

- Tak jest – wyjaśnił gen. Ishii. – Musielibyśmy tylko zainstalować dodatkowe urządzenia i zapewnić dostawę dodatkowych partii szczurów do hodowli pcheł. W razie naglącej potrzeby można by do hodowli pcheł

włączyć również jednostkę nr 100 z całą jej siecią oddziałów, a nawet obie jednostki znajdujące się w Chinach. Wtedy zdolność produkcyjna wzrosłaby do 300 kilogramów pcheł miesięcznie.

Yamada notował sobie coś w notesie.

- Jakie są możliwości ataku bakteryjnego przeciwko zwierzętom domowym? – rzucił po chwili kolejne pytanie.

- Pozwoli pan, generale, że oddam głos mojemu koledze generałowi Takahashi, specjalście w tej dziedzinie.

- Jak tu już mówił generał Ishii – zwrócił się zagadnięty do zwierzchnika – gotowi jesteśmy do zakażenia terenów nieprzyjacielskich przy pomocy samolotów i grup dywersyjnych. Najlepsze do tego celu okazały się bakterie wąglika i wirusy moru. Rozsiewanie bakterii nosaczyny związane jest z dużymi trudnościami. Owec najlepiej zakażać ospą. Jeżeli idzie o dywersję, mamy już pełne rozeznanie z terenów Związku Radzieckiego, położonych w pobliżu granicy, i jesteśmy przygotowani do wywołania tam epidemii wśród zwierząt. Jeżeli idzie o epidemie na dalszych terenach, w Syberii, większą część zadania powinno wykonać lotnictwo, nie wykluczmy przy tym jednak działań dywersyjnych. Produkcją zajmuje się głównie jednostka nr 100, której urzędnicy pozwalają na zwiększenie ilości przygotowanych zarazków nawet dziesięciokrotnie. Jesteśmy gotowi do wykonania każdego rozkazu w tym zakresie.

Narada w gabinecie trwała jeszcze godzinę. Omawiano szczegóły dotyczące organizowania sieci specjalistów broni bakteriologicznej i wyszkolonych pomocników, koniecznych w każdym pułku, oraz sprawy finansowe. Następnie gen. Ishii zaprosił obecnych na posiłek do kasyna, gdzie po toastach na cześć Jego Cesarskiej Mości i rodziny cesarskiej gen. Yamada wznosił toast za zwycięstwo.

- Sytuacja na frontach nie jest dobra – mówił. – W Europie nasi sojusznicy zostali zepchnięci do własnego już kraju i walczą zaciekle o swoje życie. Wszystko przemawia za tym, że całkowita ich klęska jest kwestią najbliższych miesięcy. Na naszym froncie Amerykanie atakują ze wzrastającą siłą i stoją już właściwie u bram naszego kraju. Granica nasza ze Związkiem Radzieckim jest na razie jeszcze spokojna, ale musimy być przygotowani do ataku w każdej chwili, zarówno z tamtej, jak i naszej strony. Myślę, że nikt z nas nie wierzy w zwycięstwo białych diabłów, tych ze wschodu, czy tych z zachodu. Udało się im wprawdzie zdobyć wiele naszych pozycji, ale naród japoński ma dość siły, aby w decydującym momencie złamać wroga i rzucić go sobie pod nogi.

- Jeżeli idzie o Rosję – mówił gen. Yamada na zakończenie – musimy zaskoczyć ją nową bronią. Nie są jeszcze znane szczegóły operacji wojennej, w każdym razie wiadome jest, to mogą powiedzieć panom jako przedstawiciel Cesarskiej Kwatery Głównej, że pierwsze uderzenie bakteriologiczne będzie skierowane na najbliższe większe miasta i ich otoczenie wzdłuż granicy mandżursko-radzieckiej. Nasze bomby z zadumionymi pchłami spadną najpierw na Woroszyłow, Chabarowsk, Błagowieszczeńsk i Czytę; dzuma zdezorganizuje wojsko i ludność cywilną, sparaliżuje zdolność do działania, zasieje strach. Wtedy wkroczy nasza armia. Na oceanicznym teatrze działań wojennych użyjemy broni bakteriologicznej przeciw okrętom amerykańskim. Na lądzie użyjemy jej przeciw Anglikom. Będziemy siać wśród wrogów ciągle nowe epidemie, zarzucimy ich bakteriami, a gdy epidemie zdzięsiątkują wojsko i cywilów, zniszczą ich rezerwy żywnościowe w postaci zwierząt domowych, nasza armia, odpowiednio zabezpieczona przeciwko chorobom, wkroczy na tereny nieprzyjacielskie i dokona reszty.

Gdy generał Yamada skończył, wszyscy poderwali się i wyrzucając japońskim zwyczajem ramiona w górę, krzykali:

- *Banzai<sup>2</sup>, banzai, banzai!*

Tak pokrzepieni na ciele i duchu zebrani udali się na zwiedzanie „kombinatu śmierci”. Przebrani w białe ochronne ubrania, zapoznali się z masową produkcją bakterii, z hodowlą szczurów i pcheł, z zakażeniem pożywki, z produkcją „bomb Ishii” i dziesiątków przedmiotów, służących do dywersyjnego rozsiewania zarazków.

Zwiedzili również więzienie, gdzie gen. Yamada zobaczył wynędzniałe, leżące na podłogach i zakute w kajdany postacie ludzkie.

Na obejrzenie poligonu doświadczalnego nie zostało już czasu, gdyż generał miał pilną konferencję w Charbinie.

Siedząc w gabinecie gospodarza i odpoczywając po trudach zwiedzania, gen. Yamada dał wyraz swoim wrażeniom.

- To, co zobaczyłem tutaj – powiedział – przeszło moje wszelkie oczekiwania. Wiedziałem dość dużo ze sprawozdań i z rozmów, które przeprowadzałem w moim sztabie. Ale nie wyobrażałem sobie, że broń bakteriologiczna może mieć tak wielkie znaczenie. Muszę panu powiedzieć, generale Ishii, że jestem wprost oszołomiony, jestem zaskoczony. Rozumiem teraz pana zapał, z którego znany pan jest w Kwaterze Głównej. Pan właśnie jest ojcem duchowym i twórcą nowej broni, broni tak obiecującej. Jego Cesarska Mość nie zapomni panu tego. Wyjeżdżam stąd w przekonaniu, że produkowana tu broń przechyli szalę zwycięstwa na naszą stronę.

---

<sup>2</sup> Niech żyje

Do ataku musimy przygotować się jak najszybciej i jak najstaranniej. Proszę, generale, wydać zarządzenia, aby sztab pańskiej jednostki przygotował szczegółowe plany operacyjne ataku na Związek Radziecki i dostarczył mi do Charbina najdalej do 1 maja.

### Koniec „kombinatu śmierci”

Nadzieje generała Yamady ani też samego cesarza Hirohito nie spełniły się.

Kłęski ponoszone przez Japończyków zaczęły spadać lawinowo, jedna gorsza od drugiej. Na Oceanie Spokojnym flota japońska – głównie ramię siły uderzeniowej, a jednocześnie główny czynnik obrony kraju – przestała istnieć. Lotnictwo japońskie zostało całkowicie zniszczone. Amerykanie po ciężkiej walce zajęli wyspę Okinawę, a więc byli już na przedpolu rodowitych wysp japońskich. Na kontynencie azjatyckim wojska brytyjskie, holenderskie i francuskie szły niepowstrzymanie naprzód, wypierając coraz słabiej broniących się Japończyków na północ. Wojska japońskie nie otrzymywały już zaopatrzenia, brakowało im żywności, amunicji i sprzętu. Przeciwnicy zaś mieli coraz więcej sprzętu, dostarczanego przez rosnącą ciągle flotę i lotnictwo.

Tymczasem w Cesarskiej Kwaterze Głównej i w sztabie Armii Kwantuńskiej rozważano sprawę użycia nowej broni, która miała przechylić zdecydowanie szalę zwycięstwa i radykalnie zmienić sytuację na frontach. Ale w istniejącej sytuacji sprawa wyglądała już znacznie trudniej niż na początku roku 1945, kiedy generał Yamada odwiedził jednostkę nr 731. Tak więc z decyzją zwlekano, a generałowi Ishii, który w Charbinie zjawiał się co parę tygodni, domagając się rozpoczęcia wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu i oddając do dyspozycji dowództwa swoją niezliczoną arię bakterii, odpowiadana niezmiennie:

- Nie ma decyzji, musimy czekać.

Generał Ishii rozszerzył swój kombinat śmierci do rozmiarów, o których sam nawet nie myślał przed paroma laty. Energiczna akcja szkoleniowa, badawcza i produkcyjna spowodowały, że kombinat pracował na najwyższych obrotach.

Miliony pcheł zerowały na szczurach i myszach. Do zwierzętarni nadchodziły coraz nowe transporty szczurów nadsyłane z bliskich i dalszych okolic. W łowieniu gryzoni zaangażowano przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. W sierpniu 1945r. Liczbę hodowanych szczurów i myszy w samej tylko jednostce nr 731 oceniano na 3 miliony sztuk. Miliony, miliardy i biliony śmiertelnych bakterii przechowywano w chłodniach, w oczekiwaniu na rozkaz.

Spokojna ludność Mongolii, Związku Radzieckiego, Chin nie mogła sobie nawet wyobrazić, jakie groziło jej niebezpieczeństwo. Ale tak niecierpliwie oczekiwany przez pozbawionych wszelkich skrupułów japońskich zbrodniarzy rozkaz z Tokio ciągle nie nadchodził.

W Europie działania wojenne zostały już zakończone bezwzględną kapitulacją hitlerowskich Niemiec. Ludność, zmęczona najcięższą w dziejach świata wojną, zaczęła swobodnie oddychać, przestępując do pracy nad odbudową życia.

Tu jednak, na Dalekim Wschodzie, wojna była jeszcze w pełni, choć jej koniec wyraźnie się już rysował.

W pierwszych dniach sierpnia zaszły zdarzenia, które wstrząsnęły światem, a jednocześnie załamały fanatyczny i bezcelowy opór Japonii.

Amerykanie użyli nowej broni, niszcząc kompletnie dwa wielkie miasta – Hiroszimę i Nagasaki. Zrzucili tylko dwie wielkie bomby atomowe, po jednej na miasto, ale to wystarczyło do wywołania wprost niepojętych zniszczeń i śmierci ogromnej liczby ludzi.

Świat wszedł w nową erę. Oszołamiająca i niezmiernie duża energia, zawarta w jądrze atomu, stała się w rękach człowieka narzędziem zniszczenia, choć powinna była stać się od początku narzędziem dobrobytu.

Jeszcze wstrząs psychiczny, spowodowany bombą atomową, nie minął, gdy do generała Ishii w jednostce nr 731 nadszedł szyfrowany radiogram z Cesarskiej Kwatery Głównej:

*Natychmiast i z całą energią przygotować się do kompletnego zniszczenia wszelkich urządzeń technicznych i zapasów w jednostce nr 731 oraz we wszystkich podległych jej ekspozyturach. W sprawie dalszych szczegółów porozumieć się ze sztabem Armii Kwantuńskiej.*

Gen. Ishii zebrał u siebie w gabinecie cały swój sztab i wszystkich kierowników działów. Był błąd, drżały mu ręce.

- Stało się – powiedział. - Nadszedł koniec naszej pracy. Zaszły nowe wydarzenia, które zmieniły sytuację wojenną i polityczną. Otrzymałem rozkaz natychmiastowego przygotowania się do zniszczenia wszystkiego, co może świadczyć o naszej działalności. Należy to rozumieć jako akcję, której celem jest, aby w ręce wrogów nie dostały się żadne dokumenty, żadne urządzenia czy inne ślady o przygotowywanej tu broni bakteriologicznej. Sprawa jest wielkiej wagi i każdy z panów odpowiada władną głową za wykonanie rozkazu.

Gen. Ishii spojrział na zegarek.



- Jest teraz godzina 16:05 – powiedział. – Do godziny 18:00 proszę złożyć tu u mnie na biurku plan akcji zniszczenia i zatarcia wszelkich śladów. Materiałów wybuchowych oraz specjalistów do ich użycia dostarczy płk Kikuchi. Ogłaszam stan ostrego pogotowia w całej jednostce.

W tym samym czasie szef ekspozytury jednostki nr 731, pułkownik Nishi, nie mógł tej nocy zasnąć. Radiostacja działała wadliwie, a komunikaty, które dostarczała, były tak zniekształcone, że mimo największych wysiłków nie można było ich dokładnie odczytać. Ze strzępków wiadomości, nadawanych przez radiostację radzieckie i japońskie, oficerowie jednostki mogli się już jednak zorientować, że nadeszły decydujące chwile. Związek Radziecki przystąpił do wojny i armie radzieckie weszły już na teren Mandżurii.

Ekspozytura była wysuniętą placówką w pobliżu miejscowości Sunu, którą od granicy radzieckiej dzieliło 250 km. Pułkownik Nishi zdawał sobie sprawę, że należy zniszczyć wszystkie urządzenia w myśl poleceń jakie omawiano wielokrotnie na odprawach w dowództwie jednostki nr 731, w szczególności urządzenia, w których produkowano i przechowywana bakterie. Należało również zgładzić więźniów służących za zwierzęta doświadczalne.

Ale dotychczas wyraźny rozkaz w tej sprawie nie nadszedł. Pułkownik miał więc powód do rozterki duchowej. Z jednej strony z każdą chwilą zbliżało się niebezpieczeństwo wtargnięcia wroga, z drugiej zaś nurtowała myśl, że dowództwo może mieć jakiś cel, zwlekając z wydaniem decyzji zniszczenia. Może duże zapasy amunicji bakteryjnej będą jeszcze potrzebne? Może lada chwila przyjadą samochody ciężarowe czy też wyląduje samolot, aby zabrać zapasy zarazków?

A co z nami? Co ze mną? – przemknęło pułkownikowi przez myśl. – Czy zdążymy się ewakuować? O jakiejś skutecznej obronie nie ma co myśleć. Nasze oddziały zmotoryzowanej piechoty, zgrupowane wzdłuż granicy, nie wytrzymają zapewne naporu Rosjan. Może tylko nieco opóźnią ich przybycie. A jeżeli nie uda się ewakuacja, to co wtedy? Przecież ani ja, ani nikt z tutejszej załogi nie może dostać się żywy w ich ręce.

Pułkownik Nishi chodził nerwowo po swoim gabinecie, wreszcie przystanął przed biurkiem, drżącą ręką sięgnął do szuflady i wyjął butelkę wódki ryżowej. Nalał sobie pół szklanki i wychylił do dna. Zrobiło mu się ciepło, a ręce przestały drżeć.

- Telegram! – nienaturalnie podniesionym głosem zameldował adiutant.

Pułkownik gwałtownie wyrwał mu z rąk arkusz papieru.

*Z rozkazu sztabu Armii woda koniecznie chorować natychmiast okinawa zostawić butelki. Kokkaido, hirup, sapawak, kwitnąca chryzantema.*

- Co to jest?! – ryknął. – Co za bzdury pan mi tu przyniósł? Natychmiast to odszyfrować i zameldować!

- Szyfr 65 A 6 tego nie wyjaśnia, panie pułkowniku. Próbowaliśmy pięciu innych zapasowych, ale bez skutku. Odbiór radiowy jest zły, nasi technicy nie zdążyli jeszcze naprawić urządzeń. Prosiłmy dowództwo o powtórzenie, ale dotychczas nic nie nadeszło.

- Od tego zależy pańskie życie! – krzyknął znowu pułkownik. – Natychmiast mi zameldować, jaki będzie wynik!

Pułkownik rzucił okiem na wielki zegar ścienny. Była 4:20. Rosjanie przekroczyli już zapewne granicę, może za parę godzin będą tu. Nie ma rady, trzeba działać – pomyślał.

Nacisnął wszystkie dzwonki na tablicy rozdzielczej przy biurku, wzywając w ten sposób wszystkich kierowników działów. Gdy za kilka minut wszyscy już zjawili się, pułkownik, stojąc pośrodku pokoju z założonymi w tył rękami, powiedział:

- Przed chwilą otrzymałem szyfrowany rozkaz z dowództwa jednostki nr 731. Wskutek uszkodzenia w radiostacji rozkazu nie można odszyfrować i zrozumieć. Sądzę jednak, że wobec zbliżania się Rosjan trzeba przystąpić do całkowitego zniszczenia wszystkich urządzeń i dokumentów oraz do zgładzenia więźniów i zniszczenia ich zwłok. W ręce wroga nie powinno wpaść nic, co by świadczyło o charakterze naszej pracy. A teraz sprawa druga – tu głos pułkownika nabrał dziwnego zabarwienia. – Nikt z nas żywy nie może dostać się w ręce wroga. Po całkowitym zniszczeniu urządzeń wszyscy spotkamy się na dziedzińcu przy wartowni. Porucznik Isaka wyda każdemu fiolkę z cyjankiem potasu. W razie niebezpieczeństwa fiolkę tę natychmiast włożyć do ust i przegryźć. Na razie wycofujemy się w góry. Każdy zabierze ze sobą ekwipunek polowy, możliwie najlżejszy, żywność i wodę do picia na dwa dni.

- Czy są jakieś pytania? – Wśród obecnych panowało głuche milczenie. – Nie? Proszę wykonać rozkaz!

Po godzinie grupa samochodów ciężarowych opuszczała zabudowania ekspozytury Sunu, kierując się w stronę widocznego w dali łańcucha gór na południu. Budynki stały już w ogniu. Co chwila rozlegała się głośna detonacja i w powietrze leciała chmura czarnego dymu, ziemi i rozerwanych części zabudowań.

Każdy z jadących miał w sekretne kieszonce śmiertcioną fiolkę i myślał o tym, jak i kiedy będzie ją musiał użyć.

Pułkownik Nishi zawiódł się jednak na swoich podwładnych. Zawiódł się zresztą i na samym sobie.

Z całego oddziału, liczącego przeszło 70 oficerów i naukowców, tylko jeden człowiek popełnił samobójstwo w chwili zagarnięcia ich przez oddział radziecki. Rosjanie nie zdążyli w porę przejąć urządzeń fabryki śmierci, ale udało im się schwytać przestępców w czasie ich ucieczki.

Inaczej przedstawiła się sprawa w dowództwie jednostki nr 731. Generał Ishii od kilku dni przygotowywał się do puszczenia jej, zdawał sobie bowiem sprawę, jeszcze przed uderzeniem wojsk radzieckich, że ostateczna klęska Japonii wisi na włosku. Jeżeli Związek Radziecki przystąpi do wojny, to w ciągu dnia radziecka armia może zagarnąć Charbin i Pingfan, gdzie znajduje się nr 731.

Po wydaniu więc zarządzeń o zniszczeniu jednostki kazał sobie przygotować samolot, a dla kierowników oddziałów i swojego sztabu – samochody ciężarowe. Miały one zawieźć ludzi do Korei i tam zatrzymać się aż w Seulu, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Również każdy z nich otrzymał fiolkę z cyjankiem.

Gdy w nocy z dnia 9 na 10 sierpnia nadszedł z Charbina rozkaz od generała Yamady, generał Ishii polecił przystąpić do zniszczenia. Czerń nocy zaczęły rozjaśniać wysokie płomienie palących się papierów i gmachów; na dziedzińcach uwijali się ludzie, ładując na samochody tylko wyposażenie połowe. Gdy sznur samochodów opuścił zabudowania, porucznik żandarmerii nacisnął dźwignię. Środkowy budynek więzienny wraz ze zwłokami spalonych ludzi, a zaraz po tym budynki dowództwa, laboratoria, zwierzętarnie, chłodnie, magazyny – wyleciały w powietrze z potężnym słupem ognia i pyłu. Gdy szczątki opadły, do akcji ruszyły oddziały miotaczy ognia, paląc wszystko, co mogłoby naprowadzić wroga na ślad.

Japonia dogorywała. Nie miała już floty, nie miała lotnictwa, jej tereny były pod nieustannym bombardowaniem amerykańskich fortec latających. Dwie bomby atomowe złamały jej opór psychiczny.

Na kontynencie azjatyckim wojska japońskie nie stawiały silnego oporu; Armia Kwantuńska, licząca 700 000 doborowego żołnierza, cofała się pod naporem wojsk radzieckich. Nie był to już właściwie strategiczny odwrót, lecz zwykła ucieczka, która na wielu odcinkach nosiła charakter popłochu. Flota radziecka dokonała desantu w północnej Korei i na Sachalinie.

Cesarz Hirohito wraz ze swym sztabem doszedł do wniosku, że dalszy opór jest niemożliwy. Dnia 15 sierpnia Japonia zwróciła się do aliantów z prośbą o zawieszenie broni. Alianci zażądali bezwzględnej kapitulacji i pod tym tylko warunkiem zgodzili się na zaprzestanie ognia.

Na całym froncie umilkły strzały.

W ekspozyturze nr 2630 jednostki nr 100 w tym czasie laboratoria już nie istniały. Zniszczone zostały z rozkazu dowództwa. Pozostał tylko niższy personel, opiekujący się sześćdziesięcioma końmi, które były przeznaczone do doświadczeń. Wojska radzieckie poszły już daleko w głąb Mandżurii kilkoma zagonami, omijając ekspozyturę. I choć wojna ze Związkiem Radzieckim trwała już od kilku dni, personel ekspozytury, złożony zresztą wyłącznie z pracowników cywilnych, nie widział jeszcze ani jednego żołnierza radzieckiego. Ekspozytura pozostała na uboczu działań wojennych.

Od małego budynku, jedyne, jaki ocalał ze zniszczeń dokonanych przez wycofujące się oddziały japońskie, biegł kucharz Kubota, kuśtykając na swojej sztywnej nodze. Wpadłszy we wrota stajni, zatrzymał się i dyszał ciężko, łapiąc z trudem powietrze. Twarz miał czerwoną, oczy wysadzone na wierzch. Wyglądał tak śmiesznie, że mimo całej grozy sytuacji, narastającej w ciągu ostatnich dni, obecni w stajni ludzie wybuchnęli śmiechem.

- Co ci to, Kubota? Zobaczyłeś coś okropnego? Może znowu szczur wpadł do kotła z zupą?

- Koniec wojny – wydyszał ciężko kucharz. – Koniec wojny, koniec wojny...

- Gdzie, co, jak? – zarzucali go pytaniami.

- Właśnie teraz, przed chwilą, słyszałem przez radio. Hasegawa tam siedzi przy radiu. On też słyszał.

Koniec wojny...

Wieczorem tego dnia wszyscy pracownicy cywilni ekspozytury zebrali się na naradę. Wiadomość o zawieszeniu broni i bezwzględnej kapitulacji nie była wprawdzie zaskoczeniem, ale wstrząsnęła wszystkimi. Trzeba było powziąć ostateczne decyzje. Doktor weterynarii Ikeda znał zresztą poufny rozkaz dowództwa, który musiał wykonać właśnie po zakończeniu wojny.

Następnego dnia pracownik techniczny Kuwabara wstał wcześniej ze swojej skromnej koi i postanowił przejść się po znajdującej się w pobliżu łące. Ze zdziwieniem zobaczył doktora Ikedę i jego pomocników Yadę i Kimurę wśród wyprowadzonych ze stajni wszystkich koni. Chciał do nich podejść, ale ci z daleka zaczęli dawać mu ostrzegawcze znaki, aby się nie zbliżał.

Yada i Kimura z dużych koszyków karmili konie, a doktor Ikeda w białym fartuchu co chwila wylewał na paszę zawartość małych probówek. Po nakarmieniu wszystkich koni, doktor i pomocnicy zaczęli – rzecz niebywała i niezrozumiała – krzyżeć i wypędzać konie za ogrodzenie.

- Hej, Kuwabara! – krzyknął doktor. – Wszystkie stajnie trzeba spalić. Załatw to zaraz!

- Dlaczego wypuściliście konie? Przecież miały tu zostać?

- Nie martw się, Kuwabara, one pójdą do Rosjan. Prezentują się ładnie, a Rosjanie lubią ładne konie, chętnie je sobie wezmą. A o to właśnie idzie. Nakarmiliśmy je bakteriami nosacizny. Może wybuchnie epidemia. Będą się mieli z pyszna. Co? Dobry kawał im zrobiliśmy? Taki upominek przed wyjazdem.

- Ale po co to, przecież wojna zakończona.

- Głupi jesteś. Hodowaliśmy tu przez trzy lata najróżniejsze bakterie i przygotowaliśmy wojnę bakteriologiczną, wszystko na próżno. Niech więc praca ma choć taki mizerny skutek, jak mała epidemijka u Rosjan. Cha, cha, cha...

## Przestępcy przed sądem

Nie udały się plany Japończyków, przepadły imperialistyczne myśli o podboju całej Azji, Oceanii i Australii. Nie zostały zrealizowane okrutne projekty wywołania epidemii „czarnej śmierci” i zniszczenia milionów ludzi.

Szybki marsz wojsk radzieckich w głąb Mandżurii zapobiegł katastrofie, która mogłaby wyniknąć z desperackiego użycia broni bakteriologicznej.

Japońscy militaryści zdawali sobie od dawna sprawę z tego, jak przestępcza jest ich działalność. Wiedzieli też, że mimo najwyższego stopnia tajemnicy przeciwnik orientował się w przygotowaniach japońskich do wojny bakteriologicznej.

Gdy więc niebezpieczeństwo zbliżało się, po prostu umknęli. Nie wszystkim jednak się to udało.

Epilogiem całej sprawy stał się głośny proces w Chabarowsku, gdzie w końcowych dniach grudnia 1949r. przed radzieckim Trybunałem wojennym stanęło 12 oskarżonych Japończyków z generałem majorem Yamada Otozoo, byłym naczelnym dowódcą Armii Kwantuńskiej, na czele.

Rozprawę sądową poprzedziło długi i starannie przeprowadzone śledztwo oraz praca komisji ekspertów, wśród których znajdowali się wybitni uczeni radzieccy, patolodzy, mikrobiolodzy, bakteriologowie, chemicy, parazytologowie, specjaliści chorób zwierzęcych i odzwierzęcych.

Na podstawie materiałów śledztwa i przewodu sądowego Trybunał Wojenny ustalił:

*Japońscy militaryści, opanowani ideą rzekomej wyższości rasy japońskiej i stworzenia pod egidą Japonii „Wielkiej Azji Wschodniej”, postawiwszy sobie za cel ustanowienie razem z hitlerowskimi Niemcami panowania nad światem drogą rozpętywania wojen agresywnych, dla osiągnięcia tego celu nie cofali się przed najbardziej potwornymi zbrodniami przeciwko ludzkości.*

*W swoich zbrodniczych planach wojen agresywnych przewidywali użycie broni bakteriologicznej celem masowej zagłady wojsk i ludności cywilnej przez rozsiewanie śmiertelnych bakterii dżumy, cholery, wągliku i innych ciężkich chorób.*

*W tym celu w armii japońskiej stworzono specjalne formacje przeznaczone do produkowania broni bakteriologicznej, jak również przygotowywano specjalne oddziały wojskowe i grupy dywersyjne w celu zarażania bakteriami miast i wsi, zbiorników wody i studni, bydła i zasiewów na terytoriach obcych państw.*

*Już w roku 1931, po zajęciu Mandżurii i przekształceniu jej w bazę wypadową przeciwko Związkowi Radzieckiemu, Japończycy stworzyli w ramach Armii Kwantuńskiej specjalne laboratorium bakteriologiczne o zakonspirowanej nazwie „Jednostka Togo”, której celem było przygotowanie wojny bakteriologicznej. Na czele tego laboratorium stał jeden z ideologów i organizatorów antyhumanitarnej wojny bakteriologicznej, dr Ishii Shiro.*

*W roku 1936, kiedy wzmożyły się japońskie przygotowania do wojny ze Związkiem Radzieckim, na rozkaz cesarza Hirohito, sztab generalny armii japońskiej stworzył na terenie Mandżurii dwie wielkie jednostki, których przeznaczeniem było nie tylko wynalezienie sposobów prowadzenia wojny bakteriologicznej, lecz również produkcja broni bakteriologicznej w rozmiarach wystarczających do całkowitego zaopatrzenia armii japońskiej.*

*Podobne jednostki stworzono również w Chinach centralnych i południowych pod zakonspirowanymi nazwami „Ej” i „Nami”. Działalność ich była analogiczna do działalności jednostek mandżurskich nr 731 i nr 100.*

*Biorąc pod uwagę, że przy użyciu broni bakteriologicznej wynika niebezpieczeństwo zarażenia władnych wojsk, japońskie dowództwo stworzyło jednostki przeciwepidemiologiczne przy wszystkich pułkach i batalionach, które podporządkowane były szefom służby zdrowia armii. Była to składowa część ogólnego planu przygotowań do wojny bakteriologicznej.*

*Badaniom sposobów i środków prowadzenia wojny bakteriologicznej, przeprowadzanym w jednostkach nr 731 i nr 100, towarzyszyły zbrodnicze, nieludzkie doświadczenia, mające na celu sprawdzanie skuteczności broni bakteriologicznej na żywych ludziach. W czasie tych doświadczeń uśmiercono w sposób bestialski tysiące ofiar.*

*Jak ustalono na podstawie zeznań oskarżonego Kawashimy i innych, w samej tylko jednostce nr 731 corocznie uśmiercano nie mniej niż 600 więźniów, a od roku 1940 do dnia kapitulacji armii japońskiej zgładzono co najmniej 3 000 osób, w tym wiele kobiet.*

W czasie przewodu sądowego przesłuchano ponownie oskarżonego, przesłuchano świadków, odczytano orzeczenia ekspertyz rzeczoznawców. Na podstawie przewodu Trybunał Wojenny uznał winę wszystkich oskarżonych i skazał ich na długoletnie kary poprawczego obozu pracy. Najwyższy wymiar kary, po 25 lat, otrzymali: Yamada Otozoo – generał major, były dowódca Armii Kwantuńskiej; Kajitsuka Rjiuji – generał porucznik służby zdrowia, doktor medycyny, były szef służby zdrowia Armii Kwantuńskiej; Kawashima Kioshi – generał major, były szef oddziału produkcyjnego jednostki nr 731, doktor medycyny; Takahashi Takaatsu – generał porucznik służby weterynaryjnej, chemik-biolog, były szef służby weterynaryjnej Armii Kwantuńskiej.

Na ławie oskarżonych zabrakło, niestety, największych przestępców – tych, którzy systematycznie przygotowywali użycie zbrodniczej broni i którzy ustawicznie podzegli do niszczącej wojny bakteriologicznej – generałów, z zarazem naukowców i lekarzy: Ishii, Kitano i Wakamatsu. Udało się im zbiec za granicę i znaleźć schronienie w Stanach Zjednoczonych.